

ARCHIWUM
PAŃSTWOWE
w
KRAKOWIE

NKN
2109

KZG-3 z. 681/72 — 6000

M NACJONALIZMU

...N HOPPE

MOZAIKA ROBOTNICZA

BIBLIOTEKA „JUTRA PRACY”
UL. NOWY ŚWIAT 21
WARSZAWA

Bibl. Leg.
NKN
2109

28241

POD ZNAKIEM NACJONALIZMU

JAN HOPPE

MOZAIKA
ROBOTNICZA

(ARTYKUŁY)

*z księgozbiorem
Walerego Ślawka*

WARSZAWA 1937.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „JUTRO PRACY“.

NOWY ŚWIAT 21



N A P R O G U

COS SIĘ ZMIENIŁO

Mieliśmy szczęście służyć pod rozkazami wielkich ludzi. Danym nam było słuchać i bezpośrednio przejmować wypowiedziane przez nich prawdy. Obserwowaliśmy — braliśmy udział w wielkich aktach nowej rzeczywistości.

Wielcy odchodzą. Zostajemy sami.

Spójrzmy tylko na parę żalobnych kart.

Odszedł od nas cichy, mało znany, a jakże mocny, jak piękny, głęboki i zniewalający do marszu za sobą, święty narodu, Adam Skwarczyński. Umarł — ale zostało po nim zakłócające spokój wielu sumień wołanie i nakaz nieustannego wydobywania żywej, prawdziwej treści spod dławiącego ciężaru form i doktryn.

Przypomnijmy sobie, jak zgasł wielki płomień — Hołówko, ten, który wysoko ponad naszymi głowami niósł wichrowy sztandar wielkości i honoru Polski.

Piłsudski — największy z wielkich. Serce — mózg — siła.

Nauczylili chodzić, rozumieć, czuć, walczyć i patrzeć, kazali pracować — odeszli.

Nadeszła pora na cichą spowiedź i śmiałe spojrzenie w przyszłość.

Historia Piłsudskiego — historią narodu.

Spójrzmy na dzieje ostatnich dziesiątków lat. Zaczynajmy od źródła, z którego czerpał siły i naukę.

1863, 1905, 1914, 1918, 1920, 1926, 1935.

Te daty to wielkie słupy ogniste, znaczące przebytą drogę. Te daty to etapy walki o człowieczeństwo.

Jakże bezmyślnie brzmią wszelkie dysputy o sztywnych formach, o dyktaturze, wszelkie porównania z obcymi wzorami, wszelkie próby naciągnięcia naszej praktyki do jakiejś modnej teorii.

Jakże ślepi są ci, którzy nie widzą, nie czują wielkości we własnym organizmie, we własnej krwi. Naród, który ma tak nieporównanie piękną kronikę ostatnich dziesięcioleci, ma prawo, ma obowiązek uwierzyć w swą własną twórczą moc.

Międzynarodowe luksusowe pociągi, wiozące do Polski próbki zachodniej demokracji, maniery Genewy, kosmopolityczne chwyty, obyczaje, Amsterdamy, Panamy, to wszystko nie powinno wywoływać bałwochwalczych ukłonów. Trzeba to zresztą stwierdzić — że zachwyty słabną. W nowej szkole wielkości narodu oduczono nas tego.

Zmieniło się wiele.

Dzieło wielkich nauczycieli przeniknęło do dna każdej dziedziny naszego życia. Myśl ich przepenetrowała wszystkie zakamarki rzeczywistości polskiej. Wzrok ogarnął całe pole zbiorowych trudów i działań. Przykład —

czyn, przykład — ofiara olśnił, porwał, chwilowo nawet zamroczył.

A kiedy spokojnie zadamy sobie pytanie, czego uczo-
no nas w tej nowej szkole, na dziś, na jutro, odpowiedź
wypadnie jakoś dziwnie prosto — bez efektów.

Nauczono nas odróżniać prawdę od fikcji.

Nauczono zwyczajnie chodzić po zwykłej ziemi, sza-
nować i widzieć zwykłego, żywego człowieka, nauczono
pracować — realizować.

KURTYNA IDZIE W GÓRĘ

Główna nuta tej pieśni, która ma rozbrzmiewać na
wszystkich odcinkach życia polskiego, to służba społecz-
na.

Tam gdzie się rozpoczyna powszechna służba i to nie-
zależnie od tego, czy ochotnicza, czy przymusowa, tam
wysuwa się jako najważniejszy problem sprawnego kie-
rownictwa.

W Polsce na szczęście nie ma mowy o szablonach życia
zbiorowego, nie ma przygotowań do powszechnie obo-
wiązującej musztry, u podstaw wszelkich działań leży
wiara w człowieka, ale dlatego nie wolno doprowadzać
do stanu nadużywania tych szlachetnych założeń.

Ogólne komplikacje życia zbiorowego wysunęły i na-
dal na wszystkich odcinkach wysuwają problem norma-
lizacji. Normalizuje się życie gospodarcze, normalizuje
organizację pracy, normalizuje mechanizm aparatury

państwowej, normalizuje życie samorządowe, nie dotarł tylko ten prąd do życia społecznego.

Tu jeszcze znajdujemy oazę starego „sobiepańskiego” liberalizmu. Każdemu wolno jak mu się żywnie podoba. „Ty państwo nie mieszaj się. To nasze wielkie, nietykalne, społeczne sprawy”. W tej atmosferze wolno bezkarnie, w bezmyślny sposób marnować kapitały społeczne, wolno mącić wodę opinii społecznej, wolno bezkarnie hodować tę straszliwą dziką trawkę społeczną, o której tak często ze smutkiem mawiał ś. p. Adam Skwarczyński.

Patrząc na to, co się dzieje, czujemy, że kurtyna już idzie w górę — zaczynamy!

Za kulisami poruszenie — niepokój — panika.

Gdzie jest reżyser? Czyżby się spóźnił? Gdzie inspijcent? Kto zaczyna? Nieustalone przydziały ról.

Może to nie dramat, przed premierą często się tak dzieje, a te zewnętrzne wrażenia bywają wytworem podniecenia nerwowego, ale mimo to o poważną rolę jaką ma odegrać aktor społecznik boimy się. Dzisiejszy społecznik to dobry uczeń starej szkoły. To stwierdzenie w całej rozciągłości potwierdza obserwacja terenu społecznego. Proszę obserwować ostatnie zjazdy, obrady, uchwały i awantury. Za dużo jeszcze zakłamania, za dużo pięknoduchów. Za dużo jeszcze starego liberalizmu w życiu społecznym i to zarówno w ustawodawstwie (przykład: dekret o związkach zawodowych z 1919 roku) jak i w praktyce społecznej.

A kurtyna idzie w górę.

W programie zapowiedziano akt służby społecznej, a aktorzy chcą śpiewać stare, ograne liberalne piosenki. Żeby nie było kompromitacji, można nie puścić na scenę. Można zdublować. Któżby to mógł zrobić? Administracja? Ale przecież nie o to chodzi. Założenia są zupełnie inne. Któż zatem?

Nowa szkoła reżyserów i centralny ośrodek dyspozycji społecznej, to są najaktualniejsze elementy wielkiego problemu służby społecznej.

T R E Ś Ć I F O R M A

ŻYCIE PRZEPLYWA OBOJĘTNIE

Ileż to razy zarówno w życiu prywatnym jak i publicznym gubiliśmy się na pograniczu tych dwóch słów i pojęć: treść i forma.

Ileż to razy wydawało nam się, że nadchodzi moment wielkiego zwycięstwa. Zdawało się, że osiągamy moment radykalnej zmiany. Wierzyliśmy, że osiągnięcie danej pozycji da zadośćuczynienie wszelkim dotychczasowym porywom, walkom, marzeniom i planom. A później? Jakże często stawka zdobyta sztywnieje, traci swe blaski, a co najważniejsze, życie przepływa koło niej jakoś obojętnie bez głębszych, oczekiwanych zmian, zwyczajnie, po dawnemu.

Jakże często obok zmienionej dekoracji, obok przedstawionych form i urządzeń życiowych, zostaje ten sam, zupełnie niezmieniony człowiek, z tymi samymi troskami, bólami i żałami do otoczenia — do życia.

Bo najtrudniej jest uciec od siebie samego.

WIDZIMY TO NA KAŻDYM KROKU

Stuprocentowy wychowanek i dobry uczeń epoki kapitalizmu w walce z kapitalizmem, czy pełnokrwisty liberał w walce z liberalizmem, to są zjawiska nienormalne.

Zazwyczaj nie są to akty głębokiej wiary i kategoryczne nakazy sumienia. Często jesteśmy jeszcze świadkami zwykłych spekulacyj, kiedy to stary homo oeconomicus kalkuluje, czy nowe dekoracje do rozgrywanej sztuki życia nie dadzą lepszej dywidendy, czy nie zapewnią wyższej renty na lata wypoczynku.

Treść i forma...

Cóż znaczy święta wojna o świat nowej sprawiedliwości, o nowe formy życia i służby społecznej, prowadzona przez sprytnych dorobkiewiczów? Jakąż to treścią wypełni się nowo-osiągnięta struktura życia?

Cóż znaczy hasło dyktatura proletariatu, czym są programy i daleko sięgające postulaty sfer robotniczych? Cóż znaczą ambicje rządu, czym są wołania przeróżnych grup społecznych o tę, czy inną formę polityki gospodarczej, finansowej, czy zagranicznej, skoro wołający i walczący nie wiele pracują nad tym, by sprawy te należycie poznać i zrozumieć?

Forma przysłania problem treści.

Przypomnijmy sobie rok 1918, rok wielkich formalnych sukcesów i zwycięstw klasy robotniczej. W wielu krajach osiągnięto wiele. Rady zakładowe zdobyły rozległe uprawnienia. Można było odegrać dużą rolę w organizacji życia przemysłowego. Formę osiągnięto. A treść? Nie pomyślano o niej w porę. Nie przygotowano realizatorów. Rezultat? Rozczarowania — straty.

STATUTY W ŚWIETLE ŻYCIA

Treść i forma.

Przyjrzyjmy się, jak wygląda stosunek życia i praktyki codziennej do statutów organizacyjnych, do tych wielkich społecznych burz, walk i rozgrywek o zmiany, poprawki, uzupełnienia. Bardzo często namiętności nalogowych społeczników stwarzają jakieś nowe fikcyjne życie sztucznie powstałych form.

Statut w życiu społecznym i jego dzieje nasuną dużo analogii z programami życia politycznego. Tu zresztą porównanie na pewno wypadnie na korzyść statutów społecznych. Mimo licznych sztywności, śmieszności i nieporozumień będą one znacznie bliższe prawdziwych nurtów życia. Statuty społeczne rodzą się na niższych piętrach rzeczywistości, dlatego mimo przeróżnych degeneracyj i zboczeń są bliższe ziemi, aniżeli programy polityczne.

Zastanówmy się jeszcze, jak wyglądają nadzieje społecznika płacącego składkę. Człowiek ten liczy, ilu jest podobnie płacących, jaka suma powstaje, co można przy jej pomocy zdziałać, jaką nową życiową treść stworzyć. Na tło tych nadziei i planów rzućmy poważne rachunki kosztów zjazdów, rozjazdów, statutowych i regulaminowych konferencji, delegacji, reprezentacji itp. Bardzo często duże kapitały pożera walka o formę, o jej utrzymanie lub rozwój. Ta walka o formę stwarza dopiero rzeczywistość, ale jak dalece niewłaściwą treść życia społecznego.

Jeszcze inne zestawienie, już zupełnie bez komentarzy i omówień.

Wiec, — hasła na nim rzucane, a życie. Czy jest między nimi jaka współzależność?

Tak — forma życia społecznego produkuje fikcyjną treść życiową.

Szukajmy dalej.

Demokracja — do niedawna niekwestionowana szczytowa kopuła wszelkich procesów postępu.

Szwajcaria — kraj najpełniejszego rozkwitu demokracji.

Referendum — szczytowa forma urzędzeń demokratycznych. A nurt treści, stworzonej przez referendum w tejże Szwajcarii przekona nas, że forma niezawsze służy zamierzonym idealnym celom.

Liczne przykłady pouczają, że objawy heterogonii celów najsilniej występują tam, gdzie budowa form nie została wzmocniona procesem kształtowania odpowiednich, należycie głęboko osadzonych treści.

W N I O S K I

Kolej na wnioski.

Czego uczyć ludzi, o co walczyć, jakie zmiany wprowadzać. Jaką drogą iść, by osiągnąć zespolenie treści z formą. Zdawałoby się, że przede wszystkim zdzierać ludziom maski, przyzwyczajając do tego, żeby mówili to, co myślą i czego pragną, ale tu już zatrzymaliśmy się na pograniczu frazesu.

Mówić prawdę i walczyć o prawdę... Dobrze, ale przecież ten namiętny społecznik wierzy w to, że owa poprawka statutowa, czy nawet rozłam i nowa forma organizacyjna, dla której dziś zużywa prawie wszystkie środki i całą energię swej gromady społecznej, że to są konieczne i wielkie dobrodziejstwa. On wierzy w to, że warto marnować czas, pieniądze, zdrowie i energię swoją, przyjaciół i przeciwnika. On wierzy, że ta właśnie praca społeczna to tytuł do prawdziwej zasługi.

Sedno sprawy tkwi głębiej. Nie wystarczą tu słowne poprawki programowe, statutowe, czy postulatowe. Istota rzeczy tkwi w świadomości, w psychicznej strukturze, w wewnętrznej treści człowieka.

Idealna forma w wykonaniu niedojrzałych ludzi zawsze wyda prymitywną i daleką od zamierzeń treść.

A zatem trzeba zmierzać w kierunku wyrównania tempa biegu dwóch płaszczyzn. Wieczna pogoń za ulepszoną formą życia nie da się zahamować i nie należy tego pragnąć, ale im większe jest napięcie tych poszukiwań, tym większy musi być wysiłek do upowszechnienia i postawienia na możliwie najwyższym poziomie nowej szkoły praktykowania zasad.

Im wyższe wzloty propagujesz, im wznioślejsze cele stawiasz, Bracie, przed zbiorowością, tym większy ciężar bierzesz na swe barki. Przecież to wszystko musi mieć jakiś związek z Twoim życiem, przecież do tej nowej pięknej przyszłości trzeba się jakoś przygotować. Tu trzeba wprowadzić bardzo surowe wymagania i bez-

kompromisowe oceny. Trzeba coś sprawić, żeby ideały przestały być świecidełkami, rozwożonymi po jarmarkach przez podejrzanych kupczyków.

Obecnie równowaga wahadeł wyraźnie została naruszona. Postulat oderwał się od życia, stworzył sobie zakłamaną świat fikcji, idea zawisła w oparach fałszu, zdala od prawdziwego człowieka. W nowej szkole trzeba znacznie większą uwagę zwracać na ludzi, na treść życia, bo stosunek treści do formy, to zazwyczaj stosunek wartości człowieka do głószonego przezeń postulatu.

LUNATYCY LECAĄ Z DACHÓW

WSZYSTKO BEZ ZMIAN

Jedną z najbardziej konserwatywnych formacji społecznych jest dziś ruch robotniczy. Nawyki i przyzwyczajenia osiągnęły na tym terenie wyjątkowo jaskrawy wyraz. Czasopisma, przemówienia, charakter zebrań i wieców, terminologia — wszystko to przetrwało bez zmian — wszystko to wygląda tak, jak trzydzieści lat temu. A życie poszło dalej. Wyminęło — zepchnęło — potłukło.

Robotnik przywiązał się do słów, do form, do zwyczajów, do ceremonialów. Robotnik ma szeroki gest. Robotnik lubi płacić. Płaci i niczego nie żąda wzamian. Składki związkowe płyną regularnie, z przyzwyczajenia i rzadko kiedy przyjdzie komu do głowy, że za te pieniądze można by lepiej gospodarować, że można by czegoś żądać od siebie, swoich przyjaciół — towarzyszy, organizacji. Płacili dziadowie — płacimy my — tak widocznie musi być — tego wymaga sprawa. Płaci po to, by przeróżne czasopisma i ulotki wypisywały stare bajeczki o międzynarodowej solidarności proletariatu — bajeczki, z których już dziś uśmiełby się nawet towarzysz Trocki.

Robotnik przywiązał się do starych form, manifestacyj i pochodów. Suną od czasu do czasu ulicami miasta

pochody, padają stare, dobrze znane okrzyki, ale życia już tam nie ma, to już nie jest bojowy marsz klasy heroicznej. Ten marsz już nie porywa, nie trwoży, nie przestrasza. Ten marsz nie zapowiada rewolucji. Uczestnicy tego marszu przestali być głównymi bohaterami współczesnego dramatu.

NIE ZAUWAŻYŁ

Robotnik nie zauważył, że paręset tysięcy jego współpraci bezrobotnych przestało już być tą wielką osią życia zbiorowego. Konserwatywny ruch robotniczy nie notował zachodzących zdarzeń i zmian, a było ich bardzo wiele: Przeobrażenia, zachodzące w organizacji przemysłu, rewolucja techniczna, kryzys form kapitalizmu, bezrobocie, coraz większy udział państwa w życiu gospodarczym, wreszcie kryzys wszelkich form liberalizmu politycznego, do którego tak bezmyślnie przyłgnał ruch zawodowy. Ale to nie wszystko. Na naszych oczach zbudził się wielki, a wczoraj jeszcze śpiący królewicz, chłop. Wieś wchodzi na afisz. Pochód, czy zgromadzenie setek ludzi, śpiewających bardzo stare i już dziś łagodnie brzmiące pieśni wobec półmilionowego przyrostu ludności, wobec ciasnoty i nędzy na wsi, wobec tysięcy silnych ludzi, którzy jeszcze nigdy zawodowo nie pracowali, wreszcie wobec wielkich mas bezrobotnych, przestał być największą sprawą dnia.

Robotnik nie zauważył, że stał się częścią jakiegoś no-

wonarodzonego organizmu, którego krwiobieg jest zupełnie inny. Nie zauważył i dlatego choruje.

Robotnik ma piękne i gorące serce. Robotnik kocha swoją legendę, przywiązał się do niej i słusznie, bo jest to jedna z piękniejszych polskich legend, ale wczorajsza — odległa — miniona. Czy można ją wskrzesić? Sądzę, że tak, ale nie starymi okrzykami. Trzeba innym okiem spojrzeć na państwo, które już dawno przestało być ekspozyturą klasy posiadającej, trzeba rozpocząć marsz ku państwu. Trzeba wreszcie zrewidować płaszczyznę ogólnych wierzeń. Nowa jedynie realna idea powszechnej służby społecznej nie da się zmieścić w starych, pokrzywionych ramach egoizmu i materializmu marksowskiego.

RYCERSKA KREW

„Nie mam już nic do stracenia — pójdę na walkę o każdą, nawet niejasno sformułowaną sprawę, byle tylko zapowiadała coś lepszego, byle zarysowywało się lepsze, inne jutro”. Tak bardzo często rozumuje robotnik — tak zazwyczaj kalkulują, myśląc o robotniku prawie wszyscy „zbawcy świata”, którzy szukają wojska dla realizacji swych planów.

Niestety, rachunek ten rzadko zawodzi.

W robotniku płynie rycerska krew bojowców, legenda zwycięskich walk jeszcze żyje, robotnik dobrze się czuje w ogniu walk. One utrzymują w nim równowagę psychiczną, one dają mu moralny ekwiwalent za wszelkie poniżenia i krzywdy, one stwarzają w nim preko-

nanie, że warto żyć, że jest potrzebny. Tu tkwi źródło wielu dramatycznych pomyłek, klęsk i rozczarowań.

Robotnik wielokrotnie był nieświadomym współuczestnikiem wielu oszustw ideologicznych. Rękami, składkami, a nawet krwią robotnika przez szereg dziesiątków lat broniono i ugruntowano wrogą i obcą mu strukturę liberalno-demokratyczną. Jego ofiarą utrzymywano przy życiu wiele tworów wynikłych z kompromisu między pragnącymi za wszelką cenę rządzić marksistami a liberałami. On swoją nędzą a jednocześnie ofiarnym groszem zasilal kasy i szeregi wszystkich ruchów, od chrześcijańsko-demokratycznych aż po komunistyczne.

LUNATYCY LECA Z DACHÓW

Postępował jak straceniec.

Wielki błąd.

Ostatnio przeciągnęło nad naszymi głowami szereg burz, pioruny wytlukły wielu zbawców i wiele zbawicielskich programów. Najaktualniejszym terminem dnia staje się słowo — uziemienie. Rozpoczął się marsz na ziemię. Jesteśmy świadkami, jak wielokrotnie nawet w sposób brutalny ściągani są z gwiazd chorobliwi marzyciele, jak z dachów spadają lunatycy, jak z efektywnych, iluminowanych trybun strącani są kombinatorzy. Wszystko to oznacza proces uziemienia. Ideałów świat zaczyna szukać pod nogami.

Bracie robotniku, czas pomyśleć o sobie, wszystkie

opowiadania o tym, że nie masz nic do stracenia, to kłamstwo, które innym znakomicie opłaciło się. Pomyśl, bracie, ile energii, ile sił, ile pieniędzy zużyłeś na wy, które dziś ze smutkiem będziesz wspominał. Kapitał, który źle lokowałeś, był bardzo duży.

Kiedy patrzysz na swoją nędzną izbę, na podarte ubranie czy buty, wydaje ci się, że istotnie nic już stracić nie możesz, ale spójrz na te sprawy inaczej. Już samo życie wyznaczyło ci miejsce człowieka z gromady — z jakiegoś szeregu, z którym powiązały cię warunki bytowania. Twoje dobra i tereny muszą wyrastać na arenie wysiłku zespołowego. Taką już rolę wyznaczył ci układ sił socjalnych. W tym przekroju jest o czym myśleć, o co walczyć, czego bronić i jest wiele do stracenia. Własna indywidualna treść, siła i zamożność będzie dopiero wynikiem rozwoju pierwszego okresu.

W ogólnym planie uziemienia realizowanym na całej linii życia państwowego rola gromad robotniczych jeszcze nie zarysowuje się zbyt wyraźnie.

O CZYM TY MYŚLISZ, PREZESIE ZWIĄZKOWY?

O czym ty myślisz, prezesie związku? O czym myślisz w godzinach ciszy i spokoju, kiedy nie potrzebujesz zgrywać się przed wyborcami, kiedy niepotrzebne są rozważne słowa, ani przekonywujące gesty.

Bądźmy szczerzy. Mówmy sobie prawdę.

Czy nie za dużo czasu poświęcamy w swych rozmyślniach i pracach tym przeciwnikom, co na ostatnim ze-

braniu za ledwie o parę głosów mniej otrzymali. Czy nie za dużo nerwów zużywają nam sprawy, związane z pracą konkurencyjnej organizacji. Po co te gorszące sceny rozgrywek? Po co ta pasja, irytacja? Po co te nieprzespane noce? Po co ta nieustanna walka o dusze — o członków? Wiem — składki, ale mimo to naiwnie pytam — po co?

Mówisz, kochany prezesie, że moc pracy, że jesteś już od dłuższego czasu w okresie zebrań. Koła, oddziały, okręgi, a w końcu walne zebranie, wszystko to stwarza nieustanny wir zajęć.

Sprawozdania, zawiadomienia, przygotowania, konferencje, konwentykle, porozumienia, korespondencja, telefony, telegramy, rozjazdy.

Léb pęka, panie dobrodzieju, a tu pytają, o czym myślę. Sam już nie wiem, od czego zaczynać.

Tak, to istotnie ciężka sytuacja.

JEŻELI TAK, TO KATASTROFA

A czy zadał pan sobie pytanie: po co pana wybrali, dlaczego pan został prezesem związku zawodowego?

Wierzyli, że znajdą w panu dobrego opiekuna, obrońcę i przewodnika. A z pewnością należy im się i opieka, i obrona i przewodnictwo. Może nie w tych rozmiarach, jak to sobie wyobraża przeciętny związkowiec, bo możliwości są ograniczone, ale należy się.

A teraz, skoro mamy chwilę czasu, podsumujmy, ile energii i jałowych myśli zabierają te tak zwane prace,

które obracają się wokół słów: reklama, rozgrywka, agitacja, deklaracja, protest, manifestacja, wybory. Toż to typowy staropolityczny słownik, a często się zdarza, że terminologia ta po brzegi wypełnia życie organizacyjne. Niedobrze — zawstydził się pan? Fala zbyt silna? Trudno się oprzeć? Porywa? Wciąga?

Może to i prawda, ale jeżeli tak, to katastrofa.

Powierzono panu byt materialny, który wymaga nie tylko rozgrywek, nie tylko walki, ale nade wszystko aktywnej bratniej pomocy.

Złożono w pańskie ręce pieczę nad zorganizowaniem obrony życia ekonomicznego członków, troskę o poziom, fachowość, o wiedzę zawodową. A etyka zawodowa? A honor zawodu i reprezentowanej gromady? A jej miejsce w całokształcie życia zbiorowego? Gdzież jest treść gospodarczej pracy związkowej. Przecież to są problemy, na które musi się znaleźć miejsce. To nie są puste słowa. Znam zresztą związki, które znakomicie prowadzą akcję dokształcania zawodowego i których bratnia pomoc zasługuje na najwyższe uznanie. Znam też organizacje, dla których słowo: honor związkowca, ma żywą treść. Obserwowałem związkową akcję kuratorów nad utracjuszami i lekkomyślnymi. Zdarza się też obserwować pracę organizacyj, które należycie pojmują swą rolę ogólnospołeczną, ale to wszystko musi się upowszechnić.

Szanowny prezesie, oderwij się na chwilę od miałkiej

codzienności, chwyć perspektywę. Stanowisko, na które wyrzuciła cię fala, to duża rzecz. Jesteś dowódcą oddziału, który wprowadzasz w życie publiczne. Postaraj się o to, żebyś nie był szefem gromady, będącej terenem pustych popisów oratorskich.

MOZAIKA ROBOTNICZA

PRZEROSTY

Zastanawiałem się, co lepsze, zupełny brak organizacji, czy nadmiar i powstała stąd dezorganizacja.

Każdy Polak nasłuchiwał się tyle surowych nauk temat grzechu ojców — anarchii, każdy tyle razy musiał się czerwienić za przeszłość, że dziś weszło w krew jurne wołanie — Organizujmy się!... Obserwujemy okres pokuty — odkupienia.

Wołanie nie milknie, rozlega się coraz donośniej, dociera wszędzie, podnieca, budzi ambicje, podgrzewa temperaturę, wreszcie doprowadza ludzi do gorączki, niekiedy do szału.

W wielu wypadkach leczenie starych chorób jest prowadzone tak forsownie i gorliwie, że choroba nie ustępuje, a przeciwnie, wzmagą się.

Od przerostu form i ambicji organizacyjnych droga do anarchii bardzo bliska.

Wielu ludzi wmówiło w siebie, że te wszystkie głośnie wyczyny, zebrania, konferencje, spory, walki, nawet bez względu na ich treść, są już dobrą robotą. Uwierzyli ludzie w to, że wystarczy zgrupować pewną sumę członków, wycisnąć z nich x złotych w postaci składek, zebrać ich dla wysłuchania długich planów prac, a póź-

niej krótkich sprawozdań i sprawa załatwiona. Życie społeczne kwitnie.

Wielkie i niestety nieprzesadzone, a bardzo aktualne nieporozumienie.

Spójrzmy chociażby na tę straszliwą manię tak zwanych byłych. Byli wychowankowie, byli obrońcy, byli uczestnicy, byli słuchacze itp. Wczorajsi - byli robią taki szum i tłok, że dla speszonych dzisiejszych jest już coraz mniej miejsca. Obok bardzo poważnych, zarówno historycznie jak i życiowo uzasadnionych, organizmów społecznych mnożą się bezsensy czasami śmieszne, czasami ponure.

Formacje te degenerują się szybko z bardzo prostej przyczyny. Nie wiedzą, co robić. W takich wypadkach najlepsza jest walka, ona zaabsorbuje energię, stworzy pozory pracy i potrzeby istnienia. Wszyscy będą mieli moc roboty, będą przepracowani — przedenerwowani. O walkę nie trudno. Zawsze znajdzie się na placu równie bzdurny przeciwnik, którego dana zaczepka ożywi, ucieszy, postawi na nogi. W walce rodzą się patriotyzmy.

Obserwator tych zjawisk bez większego trudu będzie mógł ustalić ogólnie obowiązujące prawa, normy i proporcje. Im zabawniejsza koncepcja narodzin, tym szumniejsze przepisy statutowe, tym piękniejsze znaczki, a nawet mundury. Zdarza się też obserwować dość intrygantny handelek odznaczeniami i świadectwami.

Dziedzina przerostów w życiu społeczno - organizacyjnym wymaga większej ilości natychmiastowych zastrzyków zdrowego rozsądku.

Wołając na alarm, widzę te znane obrazki: po kilka związków w jednym zawodzie, a czasem nawet w jednym zakładzie pracy. Widzę odcinek danego resortu, czy urzędu, gdzie te same funkcje samopomocy, oświaty, akcji kulturalnej, a nawet ubezpieczeń prowadzą liczne stowarzyszenia. Nazywają się bardzo różnie, statutowe cele odmienne, a w praktyce wszyscy robią to samo.

Alarm!... Mówi się często o państwie społecznym. Czy dlatego społecznym, że w Warszawie, Poznaniu i większych miastach mamy po kilka tysięcy, zbierających składki i organizujących zebrania, stowarzyszeń?

ZŁOŚLIWA ANEMIA

Jedną z głównych przyczyn anemii robotniczej jest nieustannie stosowany system parcelacyjny. Wciąż parcelacja, a nikt nie myśli o komasacji. Teren robotniczy podzielono na folwarki. Każdy folwark jest własnością innego pana. Każdy folwark żyje tradycją nienawiści do sąsiada. Każdy folwark ma swoich wychowawców, doradców prawnych, ekonomicznych, organizacyjnych, a mimo to, a może właśnie dlatego gospodarka źle funkcjonuje, dlatego prawie wszędzie mamy nadzory i kuratele.

Kapitalistom, pracodawcom może takie rozpylenie

dogadzać, bo z ruchem rozpylonym walka jest znacznie łatwiejsza. Ale wielka pozycja strat płynąca z tego stanu rzeczy to marnotrawstwo energii ludzkiej i środków materialnych. Na tym gruncie nie można postawić na wysokim poziomie społecznej gospodarki robotniczej, ani bratniej pomocy, ani akcji kulturalnej. Ponadto ten zabójczy kontredans międzyorganizacyjny, owa wędrówka między folwarkami, to wzajemne zaprzędawanie się, owe zdrady i odstępstwa, owe intrygi, podstępny i tak zwane chytryści organizacyjne „zdolnych polityków”, to jest ponura pozycja bilansu. To jest bodaj najsilniejsze źródło deprawacji i upadku sił szeregów robotniczych. Przed zniszczeniem tych źródeł proces odrodzenia nie rozpocznie się.

POPISOWA TOLERANCJA

Popisowa wprost, tolerancyjna stara demokracja stworzyła liczne systemy premiowania słabości i niesolidarności.

Jednym z tych systemów jest właśnie przesadna wolność stowarzyszania się.

Kiedy człowiek działa na terenie gospodarczym, kiedy chce założyć warsztat, czy przedsiębiorstwo, musi odpowiadać przeróżnym kwalifikacjom warunkującym jego działanie. W życiu społecznym inaczej. Energię ludzką, możliwość gromadzenia kapitałów społecznych, problemy wychowawcze w życiu zbiorowym, te pozostawiono bez ochrony. Tu każdy może mieć pole do popi-

sów. Każdy prawie bez ograniczeń może zakładać organizacje, zbierać składki, organizować kursy wychowania obywatelskiego, zabiegać o subsydia. Stąd ta tragiczna mozaika naszego życia społecznego, stąd te ilości wzajemnie konkurujących związków zawodowych, stąd ta niesłychana łatwość dla popisów wszelkich dywersantów, rozbijaczy i grasantów.

To, że w każdym niemal zawodzie jest za dużo związków, o tym wszyscy wiedzą i co dziwniejsze, wszyscy są zgodni w ocenie sytuacji, ale wyjścia z tego labiryntu, przy pomocy starych, liberalnych metod, nie widać.

NOWE KRYTERIUM

Jeżeli interes grupowy ma być busolą, to każdy go sobie komentuje, jak chce, każdy się uważa za najbardziej autentycznego interpretatora, każdy uważa, że konkurent winien ustąpić i nie ma na to rady.

Obserwowane procesy konsolidacyjne nie mogą nadążyć pływającemu warko procesowi różniczkowania.

W tej materii rozegra się jeden z najbardziej zasadniczych procesów odnowy. Tutaj musi zdecydować o formach, ilościach i jakościach nowe kryterium. Kryterium sprawy narodowej. Kryterium polskiej kolumny marszowej.

System premiowania słabości i niesolidności, w naszych warunkach, to najzwyklejsze zatrucie organizmu narodowego.

W jakimś sztabie ktoś musi powytyczać na mapie polskich działań społecznych formy, granice, rzeczowe i terytorialne zasięgi prac zarówno stowarzyszeń społecznych jak i związków zawodowych.

ZGODNIE Z PLANEM

Nie jestem zwolennikiem przymusu działania społecznego. Nierzadko nawet z podziwem patrzę na tych dobrych fachowców, którzy nie dali się wytrącić z kręgu umiłowania swej pracy zawodowej, których szarańcza tak często bezmyślnego społecznictwa nie porwała. Ci, o których piszę, to niekoniecznie filistrzy, ale nie o tym będziemy mówić.

Unormowanie form, granic i treści działań przez jakiś czynnik nadrzędny nie oznacza jeszcze przymusu. Nie o to chodzi, żeby wszyscy należeli do danej organizacji. Nie o to chodzi, żeby koniecznie wszyscy pracownicy czy robotnicy danego zawodu byli działaczami związkowymi. Ważne jest tylko to, żeby formy pracy społecznej w danym zawodzie były jednolite, zracjonalizowane i nienarażone na nieustanne fluktuacje. Chodzi o to, żeby wkłady materialne były należycie zabezpieczone, celowo używane i żeby praca tej organizacji zajmowała wyraźne miejsce w ogólnym planie twórczości narodowej.

RÓŻNORODNE PRÓBY

Oddawna już ludzie poszukują rozwiązań. Powstają różne związki, kluby, uniwersytety i kursy. Komórki te,

jedne bardziej inne mniej udane, dążą do wytworzenia nowego stylu pracy robotniczej. Są tam liczne pozytywne osiągnięcia. Próba położenia dużego akcentu na naukę, na wiedzę zawodową, na problemy kultury, na bratnią pomoc, na zbiorowe inicjatywy gospodarcze, to są na pewno właściwe kierunki, ale nie ma w nich rewelacyjnych nowości.

Istotą poszukiwań jest co innego. Chodzi tu o wypracowanie takiej metody, która by w sposób organiczny powiązała ruch robotniczy z państwem, która by problem robotniczy uczyniła rdzeniem sprawy narodowej. Która by zagłuszyła międzynarodowe pieśni na terenach polskich fabryk.

Defektem i słabością dotychczasowych poczynań jest ich laboratoryjny charakter. Doświadczenia udają się, ale wyniku ich w życiu narodu i państwa nie odczuwa się. Kierunku lawiny nie zmienimy przy pomocy wbijanych na trasie małych palików. Po okresie godnych najwyższego uznania prac laboratoryjnych trzeba wypłynąć na fale bujnego życia robotniczego. W poszczególnych przedsiębiorstwach, miastach, czy osadach są organizacje, których działanie zasługuje na najwyższe uznanie. Z duchem wychowania marksowskiego nic ich nie łączy, stosunek do państwa — na pewno nie odśrodkowy, problemy narodowe postawione należycie, ale tonu przodującego taka organizacja nie nadaje, bo areny, na których rozgrywały się zapasy o prymat w świecie robotniczym, budował Karol Marks. Tam ko-

nieczne są stare chwytły i systemy. Licytacja na tych arenach będzie trudna do dnia ogłoszenia robotniczej mobilizacji sił narodowych.

W licytacji słownej ten, którego nie obowiązuje poczucie odpowiedzialności za losy państwa, ma duże fory, jest swobodniejszy, ma nieograniczone pole do fantazji i demagogii, bo na arenach życia robotniczego obowiązują jeszcze stare regulaminy.

DRUGA STRONA MEDALU

Woźni, konduktorzy tramwajowi, kolejowi, policjanci, dozorczy domowi, dorożkarze, szoferzy itp., itp. zdziwią się zapewne, jeżeli im się powie, że są profesorami. Zdziwią się, ale w rezultacie uwierzą, że los postawił ich w roli wykładowców nauki obywatelstwa. Ich wykłady nie mają określonych godzin, ani miejsca, prowadzone są stale i nieomal wszędzie. To są wykłady najpowszechniejsze i kto wie, czy nie najważniejsze. Skoro tak, to trzeba o tym trochę pomyśleć.

OCZAMI KMIOTKA

O stosunku obywatela do państwa decydują niejednokrotnie rzeczy drobne. W oczach prostego człowieka obraz państwa utożsamia się z sylwetką znanego policjanta, urzędnika skarbowego, sekretarza gminy, czy woźnego.

Nieraz funkcjonariusz dziesiątego stopnia służbowego nie zdaje sobie sprawy z tego, jak daleko idące konsekwencje płyną z jego drobnych czynów.

Wydaje mi się, że nie będzie zbyt ryzykownym twierdzenie, że znacznie większy wpływ wywiera na kształtowanie świadomości obywatelskiej postępowanie administracyjne, aniżeli np. ustawa konstytucyjna.

Stowarzyszenia i kluby urzędnicze i robotnicze winny się nad tym poważnie zastanowić. To jest zagadnienie żywe. Na niejednym odcinku winno rozlec się silnym echem mocne uderzenie w piersi. Nieraz błędziliśmy. Znajdą się różne przyczyny, usprawiedliwienia i wyjaśnienia, ale to skutków nie zmieni. Nie zawsze było dobrze.

Warto czasem w dzień targowy przyjrzeć się losom ciemnego kmiotka, który przywłókł się do małego miasteczka, aby sprzedać parę kur i jajek, a przy okazji załatwić sprawy w urzędzie.

Przepisy bywają sztywne, ale wykonanie ich czasem bywa gorzej niż sztywne, bo smutne. Zestawienie tych paru groszy, które zarobi, z ilością opryskliwych słów, które usłyszy, szturchańców, które odbierze, a nawet nierzadko grzywien, które zapłaci, stworzy ponury obrazek kontaktu chłopca z państwem.

Rzecz jasna, że nie wszystkie te plagi obciążają rachunek funkcjonariusza, ale w wielu wypadkach pewien procent przewinień będzie można ustalić.

Z ZATROSKANĄ GŁOWĄ

Wiemy, że ciężki jest żywot pracownika najemnego, pobory niewielkie, a warunki pracy na pewno jeszcze niewystarczająco dobre.

Za małym okienkiem czy przy drzwiach w urzędzie tegoż miasteczka na pewno siedzi człowiek z zatroskaną

głową, z pustą kieszenią a liczną rodziną. Prawie na pewno tak.

Policjant, który stoi na stłoczonym rynku, na pewno jest przemęczony, jego spokój, cierpliwość, rozwaga, na pewno naruszone. Ale wszystko to nie zmienia stanu rzeczy. Narazie nie może być wiele lepiej, a mimo to państwo budować trzeba.

Mimo wszystko zawsze należy pamiętać o tym, że funkcje tych biednych i przemęczonych ludzi, to pilnie słuchane wykłady nauki obywatelstwa, a warto pamiętać i o tym, że ten oberwany i nierzadko brudny kmiołek, to twój żywiciel, funkcjonariuszu państwowym, czy samorządowym. On, miliony jego współbraci, ich liczne a dość pilnie płacone świadczenia.

*

Jeszcze inna dziedzina — administracja ubezpieczeniowa. Natłoczone wielkie przychodnie, to tak, jak rynek w dniu targowym.

Wiem, że bardzo często grzeszy ubezpieczony, wiem, że strasznie ciężką jest praca tych z za okienka, a mimo to nie ma innego wyjścia. Ubezpieczony musi pokochać swoją instytucję, musi nabrać dla niej szacunku. To może sprawić w głównej mierze postępowanie administracji ubezpieczeniowej.

*

Poruszone przykłady i zagadnienia to jeszcze jeden pryzmat, przez który należy spojrzeć na zadanie i rolę pracownika, czy robotnika i ich stowarzyszeń.

Jeszcze jedna rola i to bardzo poważna.

Sam tak często chce być rewolucjonistą, a tu każą mu być profesorem. Trudna do pogodzenia sprzeczność.

Poszukajmy dalej... Przecież dookoła i pod bokiem starych dojrzewają młodzi — dzieci — synowie — może przyszli robotnicy. Chciałoby się dobrze wychować, no ale tu już koniecznie trzeba pomyśleć o własnych zasadach i trybie życia, no i o własnej postawie społecznej.

NARODZINY

Różne bywają drogi narodzin obywatela. Czasami dzieje się to w sposób oryginalny.

Ot na przykład: w junackim obozie pracy święto. Do niedawna zwykłe łobuziaki uliczne, zwykłe męty, nie-subordynowane, niekarne, przy lada okazji połyskujące nawet nożem, ocknęły się.

Rozmiłowali się w gromadnym życiu, polubili pracę obozową, komendę, komendanta — narodzili się jako obywatele.

Symbolem tych narodzin było święto. Uroczyście, z należnymi szykanami potopili noże — tak żegnali swą przeszłość, tak stanęli twarzą ku przyszłości...

*

Obserwowałem kiedyś pracę bardzo zdolnego i obdarzonego dużym temperamentem działacza młodrobotniczego. Drzazgi leciały, kiedy mówił. Świat się

walił kiedy pisał. Irytował się i skreślał jego dzieła cenzor. Rówieśnicy podziwiali. Starzy patrzyli z niepokojem, trzeba nawet przyznać, że nie rzadko z uzasadnionym niepokojem.

Brawura — szarża — brak poczucia odpowiedzialności — czasami poprostu szal.

Znalazł się ktoś rozumny, spojrzął na rozbrykanego spokojnie, zaproponował konkretną i to dość ciężką pracę.

W parę tygodni później nasz jurny młodzian bardzo sprawnie organizował warsztaty dla młodzieży robotniczej, szukał środków zatrudnienia, organizował życie.

Rwący potok został uregulowany, a przecież to ten sam człowiek...

Kamerton konkretnej, realizacyjnej pracy wyrwał go z niebezpiecznych wirów światoburczej fanfaronady. Te dwa słowa: praca realizacyjna, warto zapamiętać.

ZAMIESZAJE

Głośno wyjących wokół nas wiatrów jest dużo, istne huragany szaleją niemal bezustannie, ale cóż — dachów nie zrywają — starych domostw nie rozwalają. A stare domy, które należałoby i można usuwać, stoją jak stały. Bo nie są to halne czy stepowe wichry, to zwykle fanfarony dmuchają. Zapowiadanych rewolucyj i groźnych przewrotów nie będzie, a w każdym razie oni ich nie przygotowują.

A z drugiej strony wieje ciepły, przymilny wiaterek,

pozornie niegroźny, a w skutkach straszliwy, wiaterek kursu na potulnych ludzi. Dla kogo to płaszczenie się? Przed kim? Dla jakich celów?

Jakaż to teoria. chciałaby widzieć naród karzełek. Potulność nie jest synonimem rozumnego posłuchu, a znów krytyka potulności nie koniecznie ma się pokrywać z wichrowatym anarcho-rewolucjonizmem.

*

Spóźnili się wszyscy namiętni podpalacze, którzy z pochodniami kręcą się wokół rzeczywistości i kombinują jak, kiedy i gdzie podpalić.

Organizacja marszu na Rzym już jest nieaktualna. Widzieliśmy to już w poprzednich aktach rozgrywających się zdarzeń.

Ciężko jest, mając w żyłach gorącą krew rewolucjonisty, stanąć na rozstaju i wyczytać wyraźnie, że droga, którą trzeba dalej maszerować, to droga pracy organicznej.

Ciężko będzie, ale już w poprzednich etapach swej drogi wyczuwał nasz przyjaciel rewolucjonista, że coś mu się psuje. Ktoś mu wrywa grunt spod nóg.

Jakiś nowy rewolucjonista - konkurent wrywa z rąk argumenty — podchwytuje — realizuje, konkurent — Państwo.

A MOŻE ZWYKŁA MUSZTRA

Ale tok naszego myślenia znów mąci dolatujące ze wszystkich stron echo miarowego kroku musztry naro-

dów, echo fanatycznych, salwowych okrzyków, bębnów, orkiestr.

Nieuzasadniony lęk, czy słuszne obawy?

Musztra. — Stalin — Hitler — Piotr — Fryderyk. Na pewno poważne zagadnienie. Opowiadam się za systemem musztry, zmienionej, zmodyfikowanej, ale musztry.

Twarde warunki, twarde życie. Zamiast gry na trąbie, czy bębnie, zamiast pięknej barwnej koszuli dośrubować rygory własnej reguły życiowej.

P O Z A S F E R Ą O B E L G

Gdyby to można było podsumować i stworzyć jeden wielki obraz zespolonego wysiłku mózgów polskich na temat sprawy robotniczej — może by wypadł interesujący rezultat. Bo przecież poza sferą przykrej wymiany obelg, poza „zdrajcami”, „łobuzami”, „lokajami” i „sprzedawczykami”, poza wszelkimi barierami i przeszkodami są ludzie porządni. Wierzę w to, że jest ich bardzo wielu. Mam prawo wierzyć, bo wielu znam. Kiedy spojrzymy uważnie na niejednego z tych, co to groźnie powiewają nad Polską anarcho - syndykalistycznym, czerwowo - czarnym sztandarem, kiedy zajrzemy w zgorączkowane oczy naszych krajowych sorelistów, gdzieś na dnie znajdziemy pełne głębokiej troski i bólu, dobre, słowiańskie, tylko bezradne i pełne rozpaczny błyski.

A pośród naszych socjaldemokratów? Zwłaszcza pośród licznych, którym serce, a nie zimne kalkulacje, wskazało drogę do socjalizmu.

Całe życie służył wiernie — ołtarz wprawdzie postarzał się, nawet jacyś inni bogowie objawiają swą moc, no ale odejść? zdradzić? Honor — ślubowanie wierności — uczciwość — a w gruncie rzeczy mgła.

Na pewno polska sprawa robotnicza ma uczciwych strażników, tylko wszystko razem utknęło na owej straszliwej mgle. Mleko. Narciarze wiedzą, co to jest mleko. Szukanie właściwej drogi jest wówczas bardzo ciężkie. Niebezpieczeństwo wisi na włosku.

SOREL I MARKS O POLSCE WÓWCZAS NIE MYŚLELI

Towarzysze soreliści i socjaldemokraci, jesteście we mgle, w takich razach znacznie praktyczniej jest patrzeć na ziemię, aniżeli w słońce.

Bardzo to niebezpieczna i zwodnicza metoda ulokować cały kapitał swego entuzjazmu i umiłowań w jakiejś, choćby najbardziej czcigodnej ale do warunków własnej ojczyzny niedopasowanej teorii. Jest to metoda studencka — dobra dla peleryniarzy, ale nie dla odrodzonych Polaków, których los postawił w roli strażników kraju z natury bezbronnego.

Jeżeli słowo naród jest dla was czymś żywym, jeżeli okrzyk „proletariusze wszystkich krajów łączcie się!” nie zamroczył was doszczętnie, to zostawcie w spokoju mit srajku generalnego, weźcie się lepiej do studiów nad historią Sparty — to pewno będzie dla Polski pożyteczniejsze. A sprawa robotnicza? Jedno jest pewne, że Sorel i Marks nie zastanawiali się nad tym, co się stanie z Polską wówczas, kiedy ich systemy rozkrzewią się między Niemcami a Rosją.

OJCZYŻNA, TO MOCNE SŁOWO

Słowo Ojczyzna jest znacznie starsze od okrzyku — „towarzysze wszystkich krajów, łączcie się”, a mimo to nic nie straciło na swej sile i żywotności, konkurencję wytrzymało. Pierwsza brygada marksizmu, niemiecka socjaldemokracja stosunkowo w niedługim czasie dwa razy schyliła czoło przed siłą tego słowa; dwa razy poszła w rozsypkę. W 1914 roku hymn narodowy i działa zagłuszyły „Czerwony sztandar”, a w czasie przewrotu hitlerowskiego z niezrozumiałą wprost uległością składały broń zbrojne oddziały socjalistów, oddawały kluczowe potężne organizacje zawodowe, na oczach wprost topniała wielka materialna siła 2-giej międzynarodówki i niemieckiej socjaldemokracji. Marksizm nie wytrzymał konkurencji, bo Ojczyzna i Naród, to mocne słowa.

W Polsce trochę przycichły pozdrowienia dla czerwonej Hiszpanii, w związkach zawodowych rozpoczął się proces gwałtownej fermentacji, zwłaszcza odcinek polskich sorelistów trzeszczy, mit strajku generalnego rozplywa się we mgle, teorie coraz jaskrawiej zawisają w powietrzu, a człek zgarbiony przy maszynie pyta sąsiada: co dalej? A towarzysz bez namysłu z całą siłą przekonania daje odpowiedź, że coś musi się zmienić!

Łowię w pamięci refreny dnia wczorajszego.

Soreliści z patosem głoszą triumf klasy heroicznej, a klasa heroiczna pod batutą umiarkowanych marksi-

stów śpiewa bardziej przyziemne pieśni o płacach, pragmatyce, stabilizacji. Bliższą życia jest na pewno postawa numer dwa, ale i tutaj jest coś z heterogonii celów, bo przecież ten coraz lepiej zabezpieczony, sytuowany i stabilizowany staje się coraz gorszym materiałem na rewolucjonistę i na pewno coraz rzadziej snią mu się mity strajku generalnego, czy dyktatury proletariatu.

No dobrze — gadu, gadu, ale pamiętajmy, że ten przy maszynie pyta się: co dalej? A przecież on ma prawo pytać, przecież ten uczciwy głos należy respektować.

KTOŚ TU KŁAMIE

Co to wszystko znaczy? Świat do góry nogami. W oczach młodego robotnika, wczorajszego Ompiaka, czy junaka, wszystko się pokiełbasiło.

Ktoś tu kłamie. Albo ci, co to wczoraj mówili o Teju, co jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli, o wojsku, o trudzie budowania, o konieczności nieustającej służby, albo ci, co dziś mówili o nienawiści klasowej, o ideach strajkowych, o wrogiej burżuazji.

Ktoś tu na pewno kłamie. To wspólne dobro jakoś źle wygląda. W fabryce wyzyskują, traktują często bardzo źle, coś się nie zgadza. No, ale ci z wytwórni wojskowej, co to o strajkach mówią, to przecież dla Polski niebezpieczne typy.

Stanął przy maszynie, głowa nafaszerowana ideałami młodości, a ręce splotły się z łańcuchem nowej rze-

czywistości, jakiejś innej, obcej. Nasz młody przyjaciel wie, co znaczy braterstwo, wie, co to sitwa, co znaczy uścisk wyciągniętej prawicy. Ten nie nawali — honor.

No ba, ale nafaszerowana głowa przypomina piękne słowa o honorze zawodu i honorze narodu, a tu w wytwórni materiału obronnego namawiają do awantur, strajków.

Gdzie szukać prawdy?

DAWNIEJ INACZEJ BYWAŁO

Minęły już dawno lata zwycięstw klasy heroicznej, został dość duży materialny dorobek. Zostały ochronne i ubezpieczeniowe wały ustaw, zostały pewne wpływy w układzie sił politycznych, zostały wspomnienia wielkich pożarów. W Polsce były piękne pożary, a ogień ma w sobie jakąś dziwną moc urzekania. Starzy bojowcy mają tematy do pięknych gawęd. No tak, ale obok gawęd jest przecież aktualne życie. Taki stary sybirak, później peowiak i ochotnik wojsk polskich a wciąż bez awansów, zwykły robotnik, nie może pogodzić się z filosowieckimi prądami. Uliczne awantury, wiece i demonstracje, podżegane przez żydowskich wyrostków, w jego oczach są jakąś parodią i fałszywym naśladownictwem dawnych dni. Dla innej sprawy brał wówczas spluwę w garść, dla innej szedł na ulicę i nie przywoził mu wówczas umorusany towarzysz Josek.

Stary bojowiec patrzy, smuci się, wspomina.

„Dawniej inaczej było”. No trudno — coś musi się zmienić. Poczekamy. A starzy bojowcy umieli czekać.

N A R O D O S S I E, A MOŻE W OSTREJ BRAMIE

Dlaczego nie formujemy narodowych organizacji zawodowych? Najczęściej wołają o to młodzi. Oni nie mają tych licznych starych umiłowañ, które nakazują lekceważyć i ośmieszać faszyzmy i hitleryzmy. Dla nich wielka światowa gra nacjonalizmów jest przede wszystkim faktem, nie nieszczęściem, nie wstecnictwem i kołtuństwem, a pro prostu oczywistym faktem, wobec którego trzeba zająć wyraźną postawę. Młode roczniki jakoś to lepiej czują, że w ogólnej kurzawie dzisiejszego dnia, albo zawyje potężny polski wicher, albo zapadnie grobowa cisza.

Dlatego to młodzi wołają o narodowe związki.

W słowie — narodowy — jest już wiele wyjaśnień. To jasne, że przekreśla się międzynarodową solidarność i, że światowa rewolucja proletariacka przestaje być hasłem, że wysłużony, a na wielu polach i zasłużony Marks idzie na emeryturę, no ale linie działań i planów wewnętrznych jeszcze się w tym słowie nie objawiły.

Powiedzmy, że poprzecinano więzy międzynarodowe w masie robotniczej i do decydującego głosu doszedł dawno już w niej tkwiący duch narodowy. Ale znów ten zgarbiony, od maszyny pyta: co dalej?

ZWROTNICĘ TRZEBA PRZESTAWIĆ

W służbie narodowej ideał dyktatury proletariatu nie może być słońcem słońc. Decyduje o tym nie teoria, a polska rzeczywistość, jej struktura gospodarcza, statystyka ludnościowa i sytuacja geopolityczna. Doktryna nie przefasonuje nam tych elementów.

Polska rzeczywistość — te dwa słowa muszą zastąpić stare teorie.

Przez ten pryzmat musi być kształtowany stosunek i do kapitału i do pracy.

Polska rzeczywistość dyktuje nam surowe prawa. Polska najbliższych dziesiątków lat musi być obozem warownym, a załoga musi stanąć na ochotnika. W tym obozie robotnik będzie poważną pozycją nie dlatego, że jutro już dyktatura proletariatu i nie dlatego, że jest częścią składową klasy heroicznej, a poprostu jako podstawowy element życia produkcyjnego — jako twórca. To stanowisko musi mu dać tytuł i do należnego miejsca w życiu publicznym i do ochrony i do wszelkich zabezpieczeń.

Dobrze uświadomiona rzeczywistość obozu warownego musi wyklarować stosunek do kapitału, do przemysłu i do organizacji życia gospodarczego w ogóle. Służba narodowa będzie musiała skryształizować zmętnięte dziś pojęcia. Jeżeli np. tu czy ówdzie będzie boleśnie zmuszony do lojalności jakiś wielki pracodawca, to nie dla kokieteryjnego ukłonu wobec klasy wojują-

cej, a w imię panującej racji obozu warownego. Polityczna gra w szachy, idea odwetu i samosądu gaśnie. Wymiar sprawiedliwości społecznej trzeba złożyć w ręce dowództwa frontu.

Zachnęli się zirytowani czytelnicy. Co za militaryzacja pojęć? Co za dowództwo frontu? Jaki front?

INSTYNYKT NARODOWY ŻYJE

W dwudziestym stuleciu, gdy wielkie smoki nie dla żartów szczerzą na siebie zęby, niejedna może nacja zginie z powierzchni ziemi. No, ale chyba nie my? A czy nie brak powodów do wielkich konfliktów i niepoko-
jów? Dlatego mowa o froncie. Dlatego potrzeba uzgodnienia ogólnonarodowych planów mob. z każdą dziedzi-
ną twórczości polskiej. Dlatego nie możemy porozu-
mieć się z lunatycznymi sorelistami i konserwatywnymi
socjalistami. Może to brzmieć nieco paradoksalnie, ale
tak jest — konserwatywnymi.

Teorie rajskiej organizacji życia społeczeństw, pisa-
ne szablonem odpowiednim dla każdej planety i każde-
go okresu nie mogły uwzględniać „niskiego”, bo atawi-
stycznie w człowieku tkwiącego instynktu narodowego,
ale on jest, żyje, on stawia na nogi rozbite Niemcy, on
z krainy dziadów robi potężną Italię, stwarza przedziw-
ne odmiany wschodniego krajobrazu politycznego.

Na szczęście mit rajy przestaje ludzi bawić. Powrót
na ziemię jest zupełnie wyraźny. I tu znów z całą siłą

narzuca się leżące u podstaw narodowej myśli proletariackiej pytanie: Czy kolumna marszowa narodowych polskich sił uwierzy, że Polska jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli? Wydaje się, że tak, ale odpowiedzi będziemy jeszcze szukać w dalszych rozdziałach.

STARZY DEMOKRACI KOCHAJĄ SIĘ W ZASADACH

Owa militaryzacja drażni ludzi wczorajszych. Padają wówczas zaklęcia w imię wolności stowarzyszeń, w imię demokracji, ale to nic, fakty będą przekonywać.

Demokraci typu wczorajszego kochają zasady. Zasady te mogą być nawet bardzo kosztowne, mogą być realizowane kosztem bytu najbiedniejszych, byle dobrze brzmiały, byle by były liberalne i humanitarne. Marnotrawstwo środków, sił i energii w systemach i szablonach międzyplanetarnych nie wchodziło w ogóle w rachubę, podobno usprawiedliwiała to obrona godności ludzkiej. Mam jednak dość poważne wątpliwości co do słuszności tych założeń.

Weźmy symboliczną fabrykę.

Zatrudnionych 15 tysięcy.

Stowarzyszonych w przeróżnych zrzeszeniach, głównie zawodowych, 10 tysięcy.

Suma płaconych przez robotników składek na cele społeczne około 10.000 zł. miesięcznie.

Demokratyczne zasady nakazują nie wtrącać się. Dorosły człowiek robi, co chce, płaci dobrowolnie, płaci gdzie chce, należy, gdzie chce i basta. Ale wróćmy do

fabryki. 10.000 zł. płynie co miesiąc. Płynie i rozplywa się. Zjadają je różne kancelarie, pisemka, koszta zjazdów, rozjazdów, walk międzyorganizacyjnych, bo życie społeczne jest bujne. Naród „uspołecznia się”. A w fabryce bez zmian. Na urlop nie ma gdzie jechać i nie ma za co. Bezprocentowego, choćby niskoprocentowego kredytu w razie potrzeby nie ma skąd dostać, pomoc dla starców szwankuje, opieka nad dziećmi pozostawiona tylko organizacji szkolnej, własne spółdzielcze poczynania nie istnieją, życie kulturalne — pozał się Boże, a dziesięć tysięcy złotych miesięcznie rozplywa się, a zasady demokratyczne dają temu aprobatę, a próby skanalizowania i zracjonalizowania tej marnotrawnej gospodarki energią i złotówką ludzką pięknoduchy nazwą zamachem na wolność.

Bo człowiek wolny dobrowolnie może skazywać się na prymitywne warunki życia. Któż ma prawo siłą uszczęśliwiać go?

Nie uszczęśliwiać, panowie, tylko stawiać na właściwe miejsce. Państwo nasze jest wspólnym dobrem. Marnotrawstwo w życiu omawianej fabryki to strata narodowa, to osłabienie sprawności bojowej narodu i dlatego bez żadnych skrupułów musimy ster tych problemów składać w ręce dowództwa frontu.

Podziały, linie, formy życia zbiorowego, celowe użycie kapitałów społecznych, to wszystko musi podlegać decyzji jakichś sztabów, które mają przed sobą mapy życia i sytuacji całej Polski.

EKSPOZYTURA KLASY POSIADAJĄCEJ

No dobrze — powie towarzysz socjal-demokrata, — ale przecież państwo jest ekspozyturą klasy posiadającej.

Spójrzmy znowu na tę samą fabrykę.

15 tysięcy przeważnie rodzinnych ludzi stanowi olbrzymi procent ludności danego miasta. Ich postawa w dużej mierze wpływa na treść życia miejscowego samorządu, poziom kulturalny decyduje o charakterze życia miejskiego, stopień ich zamożności kształtuje sytuację na miejscowym rynku handlowym, rzemieślniczym, chałupniczym — słowem rdzeń życia narodowego na poważnym odcinku.

Te 15 tysięcy ludzi produkuje bardzo ważny dla życia Polski produkt, ich stosunek do warsztatu, do zawodu, ich wiedza i rzetelność w pracy zawodowej to sprawy pierwszorzędnej wagi.

Z drugiej strony stoi pracodawca. Nie żaden bandyta, ani złodziej, ale nie Polak, nie zapatrzony w nurt życia danej miejscowości, nie zatroskany sytuacją Polski, nie interesujący się treścią i poziomem życia omawianej masy robotniczej. Z drugiej strony stoi obojętny na sprawy polskie, zapatrzony tylko w swoje zamknięcia rachunkowe i bilanse, obcy, zimny, nieczuły pracodawca. Obserwując przytoczony przykład zadajemy sobie pytanie: Jakież to dowódca mobilizujący wielki front narodowy w rachunku swoim postawi na pracodawcę.

Któż dzisiaj uwierzy, że w systemie narodowym, a zwłaszcza w warunkach polskiej rzeczywistości, państwo jest ekspozyturą klasy posiadającej?

PYTAMY DALEJ

Ale mimo to pytamy dalej, czy jednak to państwo nie jest ekspozyturą, czy owo wspólne dobro, to nie frazes przypadkiem?

Wszystko to, co mówiliśmy przed chwilą, to na pewno nie jest wyczerpująca odpowiedź. Ilustrować ją muszą przykłady stosunku państwa do obcego kapitału, do Żyrardowa, do Wspólnoty Interesów, państwowy program polityki rolnej, polityka budowlana i spółdzielcza i wiele innych wielkich i drobnych spraw, przykładów i zagadnień. A spojrzmy znów od innej strony.

Komu służy minister rolnictwa — ziemiaństwu? A komu Premier? — może przemysłowi wojennemu? Przecież w Polsce ten przemysł w dużym procencie jest upaństwowiony. A jakież to interes klasy posiadającej zaspakaja etatyzacja produkcji zbrojeniowej? Na pewno tylko interes Narodu, który stale musi być pod bronią.

NA ROSSIE, A MOŻE W OSTREJ BRAMIE

Ale i to nie wszystko. Ten problem musi się przełamać gdzieś głęboko w psychice obywatela. Może w chwili przeżywania dumy narodowej, powiedzmy, na pokładzie okrętu „Piłsudski”, może na gdyńskim molo, może w Porąbce, może na Rossie, czy w Ostrej Bramie, a mo-

że pod krzyżem Traugutta? Ale to się stanie, to już się dokonywa.

A więc nie ekspozytura, wobec tego rewidujemy metody pracy. W odniesieniu do życia społecznego i do związków zawodowych przychodzą mi z pomocą myśli Adama Skwarczyńskiego, który mówił, że „musimy podjąć wielką pracę moralną. Polega ona na tym, aby w dzisiejszym, zatimizowanym społeczeństwie wolnych jednostek”, „...niezależnych indywiduów wiązać ludzi nie tylko racjonalistyczną metodą uzyskiwania ich zgody na pewne „zasady programowe”, nie tylko materialistyczną metodą wiązania ich interesów, ale moralną więzią zaufania i twórczą więzią powołania”.

„Zaufanie do kierownika, czy przewodnika stwarza podstawę hierarchii i posłuchu nie z przymusu, lecz z dobrej woli, która jest ideałem więzi społecznej”. Te głębokie myśli każą nam jeszcze mocniej stawiać problem płynącej stąd hierarchii celów, form i środków działania.

BĘDĄ WSTRZĄSY

Ruch zawodowy na tym tle przeżyje jeszcze głębokie wstrząsy. Dla jednych będą to wstrząsy natury formalnej, mechanicznej, porządkowej. Dla innych będą to przeżycia natury światopoglądowej i moralnej. Tak czy inaczej, wstrząsy będą. Musi nastąpić ostry przeskok od interesu klasowego do sprawy narodowej.

Musi i nastąpi, bo państwo nasze na pewno nie jest ekspozyturą klasy posiadającej.

ZDOBYWCA CZY SMUTNY CZŁOWIEK

SERCE WOŁA INACZEJ

Bardzo wymowną poglądową lekcję nowego układu sił, który zmusza do radykalnych zmian na odcinku robotniczym, dają smutne a tak liczne sylwetki bezrobotnych. Klasa robotnicza rozłupała się. Ponieważ ci bezrobotni to jeszcze wczorajsi towarzysze klasowi, jeszcze i dziś teoria walki klas postawi ich w tym samym szeregu, ale w życiu praktycznym to już inny świat, to konkurent, to groźba niżki płac, to widmo i postrach, to przyczyna dość znacznego osłabienia i rozbrojenia robotniczej postawy psychicznej, a jednocześnie to ojciec, szwagier, brat. Tym musi się zająć państwo. Tak, ten rzekomy wróg klasy pracującej — państwo. Coraz trudniejsza staje się egoistycznie klasowa i bezkompromisowo bojowa postawa związków. Obok zimnego rozumu, obok nie dających się zagłuszyć uczuć narodowych i patriotycznych, zwykle ludzkie serce woła, że coś trzeba zmienić i że międzynarodowe recepty Karola Marksa nie dają oczekiwanego zdrowia organizmowi. Powracający z socjalistycznej Francji emigranci polscy dali nam b. smutną lekcję o wartości międzynarodowej solidarności proletariatu, ale centrale związkowe jeszcze tego pro-

blemu nie przetrwały, a należy dodać, że centrale nie zauważają wielu problemów życia.

UCHOWAŁA SIĘ

Uchowała się w Polsce duża fabryka, w której nie ma żadnego ogólnopolskiego związku zawodowego. Nie zamierzam tu ani ganić, ani chwalić, sprawa jest jednak dość interesująca. Robotnicy, z którymi rozmawiałem, traktują to jako osiągnięcie wysokogatunkowe, ale nie to jest ważne, bo w szerszej skali niepodobna sobie wyobrazić struktury społecznej bez formy organizacji zawodowej. Ze wzmiankowanej rozmowy wypływał b. prosty, nieomal handlowy, kalkulacyjny ich punkt widzenia. Po prostu dzięki swej związkowej abstynencji uniknęli kosztów pośrednictwa i uchronili się od dźwigania ubocznych kwestii z życiem fabryki nie związanych. W ten sposób uchronili też swój warsztat pracy od konfliktów, które tak często nieoczekiwane, rekoszetem od ogólnej polityki spadają.

Tak zwana wielka polityka to kosztowna zabawa, na którą nas nie stać — powiadają, — a w lokalnym życiu samorządowym bierzemy udział czynny i mamy na to większe środki, bo nie ogałają nas żadne centrale.

Dla rewizjonistów problemu robotniczego sprawa ta na pewno jest ciekawym przyczynkiem, a najistotniejszym jej elementem jest stosunek energii regionalnej niechętnie rozpraszający się i uchylający się od świadczeń na rzecz działań centralnych.

Nie upraszczajmy sobie sprawy i nie traktujmy tego jedynie jako objawu egoizmu lokalnego, czy braku wyrobienia społecznego, w tym jest coś z prawdy, bo przecież to najprawdziwsze życie robotnicze płynie przez fabrykę i położoną wokół niej osadę, czy dzielnicę. Tam rodzą się potrzeby i tam trzeba je zaspakajać, tam na miejscu trzeba podnosić poziom życia kulturalnego i materialnego. Na miejscu płynie, z bytem robotniczym silnie związany nurt życia samorządowego i na miejscu rozgrywają się batalie walk politycznych. W dzisiejszym systemie robotnik duże sumy środków przelewa na centralną akcję na walkę o przyszłą dyktaturę. Wizja ta jest dość kosztowna, ale ważniejsze jest to, że absorbuje problemy dnia, które mogą być własnymi siłami rozwiązane.

W przytoczonym przykładzie kryje się jakiś akcent przestrogi pod adresem centralizatorów, kryje się pouczenie, że prawdziwe lokalne życie może sobie dać radę i wypracować własne nurty bez opiekunów i korepetytorów centralnych. Dla sztabowców sprawy robotniczej jest w tym jeszcze przypomnienie: obok pionowych linii rozwoju i życia zawodów, trzeba jeszcze brać pod uwagę poziome linie indywidualnego życia regionów.

Z tej przestrogi wylania się i aż do rozstrzygnięcia będzie się narzucał problem rewizji form życia związkowego.

UCZMY SIĘ OD STRZELCÓW I DRUŻYNIAKÓW

Jest wśród społeczników cecha miła, powiedziałbym nawet ładna, ale niestety nie zawsze rozumna, to przywiązanie do form organizacyjnych. W tym zakresie myślenie ludzkie jakoś dziwnie szybko sztywnieje. Wpływają na to ostre, a nieustanne tarcia konkurencyjne z innymi organizacjami. Ktoś kto trafił do komórki X, całą siłę swej argumentacji nastawia na uzasadnienie wyższości i doskonałości wybranej przez siebie formy. Tak rodzi się trochę nienaturalna pewność siebie i nieco krótkowzroczna wiara w nieomyślność swojego związku. Często pocieszne bywają dysputy zaciętrzewionych antagonistów, zwłaszcza tam gdzie między organizacjami nie ma różnic światopoglądowych, a sprawy personalne i inne drobiazgi tworzą niezdobyte barykady. To przywiązanie stanowi pewną klępę bezpieczeństwa wobec możliwości całkowitego rozpylenia się naszego życia społecznego, ale jednocześnie odgrywa rolę chińskiego muru, utrudniającego dostęp reformie i modernizacji.

W tym zakresie warto wspomnieć rok 1914 i piękną scenę, kiedy drużyniaczy i strzelcy wymieniali znaczki organizacyjne.

Przychodzą momenty, w których formy należy uznać za zużyte, wtedy trzeba je łamać bez skrupułów.

EGZALTACJA

Jest jeszcze pewna dość drażliwa nuta, którą trzeba skorygować. Egzaltacja i przesada wielokrotnie przera-

dza się w jakieś swoście klasowe zarozumiałstwo, które bardzo utrudnia i komplikuje sprawę.

Zaczęło się od uzasadnienia naukowego. Doktryna tak chciała, ale kiedy przetopiło się to w zdarzenia życia codziennego, cecha ta zaczęła wyrodnieć.

W robotnika wciąż egzaltowani inteligenci wmawiali, że jest najdzielniejszym, najwybitniejszym, nieporównanie czystym, bohaterskim, zasłużonym i jedynie przyszłościowym elementem życia publicznego. Jest w tym dużo prawdy, ale i sporo egzaltacji. No, bo niby chłop też nie jest najgorszy, a drobny kupiec też nie ma świętego życia, a rzemieślnik też jest twórcą i też ciężko pracującym, a nauczyciel, a lotnik i tak dalej można by cytować wiele przykładów i porównań.

Uwagę tę należy podkreślić i rozpowszechnić dlatego, ażeby zmniejszyć siłę niezdrowych kontrastów. Dziś na przykład na zebraniu, na wiecu, w prasie związkowej robotnik chodzi w glorii zdobywcy świata, w szatach warstwy predystynowanej do epokowych zadań, do przełomów i zbawiennych wstrząsów, ale już w drodze do ubogiej izby rodzinnej, a może jeszcze silniej w drodze do fabryki, bańki pękają. Zdobywca przeradza się w smutnego zgnębionego i upośledzonego przez los człowieka.

Po co ten patos i sztuczne podniecanie klasowej ambicji, a właściwie fantazji? Po co? Z punktu widzenia teorii o dyktaturze proletariatu sprawa jest prosta i zrozumiała, ale w systemie równowagi narodowej sztuczne

okadzanie pewnych warstw poza omawianymi osobistymi przykrościami daje w wyniku niepożądane, a liczne dysproporcje.

U Marksa i Sorela robotnicy to klasa wybrana, ale przecież przestaliśmy wierzyć w dyktaturę proletariatu, przecież odrzuciliśmy mit strajku generalnego i w ślad za tym nie ma już mowy o dumnej izolacji życia robotniczego od reszty zdegenerowanego, burżuazyjnego świata. Granice izolacji prysły, po cóż za tym stare dekoracje, po cóż wczorajsze gesty, powróćmy w sposób naturalny na dzisiejszy grunt.

BOLESNE POZORY

Są wydarzenia, które podważają równowagę na dłuższy czas. W wyniku buchalteryjnych kalkulacji, dokonywanych w sztabie kartelowym pada wyrok: Fabryka X musi stanąć. Przemysłowiec otrzyma swoje odszkodowanie, ale w uszach robotniczych marksowski refren o nienawistnej eksplozyturze kapitału zadźwięczy mocniej. Robotnikowi z tej fabryki teoryczne wyjaśnienia już nie wystarczą. Robotnik dobrze wie, że suchy i bezwzględny rachunek zysków i strat nie uwzględnia narodowego punktu widzenia. Tu już na pewno decyzja i pogląd ukształtował się dla państwa niekorzystnie.

Są jeszcze inne, jaskrawe wypadki.

Decyzją obcego kapitału wstrzymano pracę na kopalni, albo jeszcze gorzej, postanowiono zatopić kopalnię. Wydobycie nie kalkuluje się. Konieczne inwestycje nie

zamortyzują się. A problem życia narodu, jego elementy socjalne, ludnościowe, no i kwestia gotowości bojowej nie da się zawrzeć w rachunkach strat i zysków koncernów przemysłowych.

Są niestety dość liczne chwile i zdarzenia, w których marksowskie refreny brzmią prawdziwie i wciąż aktualnie, a chwile te zazwyczaj mają silny wyraz i na długo zostawiają w pamięci bolesny osad goryczy.

SMUTNY WYRAZ PRAWDY

Poza tym wszystkim, co się słusznie mówi o złych skutkach strajków okupacyjnych, poza koniecznościami polityki bezpieczeństwa i poza prawdopodobieństwem wrogich nam inspiracji, jest w tej formie walki coś z szlachetnie brzmiącego patosu. Rzecz jasna, że nie chodzi tu o wypadki, gdzie błahy powód stoi w jaskrawej kolizji z rozmiarami obrony i formami walki. Trzeba nawet przyznać, że te wypadki są bardzo częste, bo przywódcy ruchu nie zawsze mogą się poszczycić właściwym nawet dla rewolucjonisty poczuciem umiaru i umiejętności skalowania.

Mam na myśli wypadki istotnie poważne. Tam gdzie obcy kapitał bezceremonialnie postanawia umieruchościć a nawet zniszczyć część dobra narodowego, gdzie niezrozumiałe dla zwykłego obywatela łamańce kalkulacji kartelowych prowadzą do szaleńczych pomysłów nawet zatopienia kopalni, tam strajk okupacyjny staje

się ważnym fragmentem służby narodowej, tam z najwyższą czcią należy spojrzeć na strażników naszego dobra — robotników polskich, tam z całą siłą wyrazu rysuje się smutna prawda o dramacie życia i walk świata robotniczego.

POD ZNAKIEM MIĘDZYNARODÓWKI

Jest taki dzień w roku, o którym należy mówić z pełną powagą, a nawet nabożeństwem, ale jednocześnie z żalem i niesmakiem.

Święto pracy to na pewno piękny symbol, ale od długiego szeregu lat niedobrze to wygląda. Od lat obok poważnych grup suną szeregi kędzierzawych panów, by słać system sowiecki i pluć na wszystko co polskie, a tajemnica pierwszomajowa polega na tym, że to, co w dniu zwykłym spotkałoby się ze zdecydowaną reakcją robotnika Polaka, w dniu święta pracy uchodzi. W dniu tym zwyczaj nakazał bardzo daleko idącą tolerancję.

W dniu 1-szym maja pogłębia się zawsze rozdźwięk między robotnikiem a resztą społeczeństwa i nie upraszczajmy sobie sprawy, że owa reszta to burżuazja, albo pacholki burżuazyjne. W dniu 1-szym maja od ulic wieje jakaś obcość, międzynarodowość i nieprzejednana złość. Do kogo? Do Polski? Sprawiają to napisy na transparentach, sprawiają to liczne szeregi obcoplemieńców, sprawia to duch Karola Marksa, ożywiający każdy sztandar i każdą grupę pochodu. W tym dniu łatwo zrozumieć, co znaczy międzynarodówka.

Finezje, wzajemne walki i nienawiści poszczególnych grup pochodu są dla obserwatora z tłumy nieistotne. O

wyrazie dnia decyduje jego ogólna tonacja, koloryt, obcość, międzynarodowość. Słowo ojczyzna nie ma dostępu do maszerujących szeregów.

M I Ę D Z Y N A R O D Ó W K A

Jednym z objawów realizacji wezwania: Proletariusze wszystkich krajów łączcie się, jest przynależność prawie wszystkich organizacji zawodowych do przeróżnych międzynarodówek. Tak to już zwykle jest, że wszelkie międzynarodówki są organami, przy pomocy których państwa silniejsze oddziałują na słabsze i mniejsze.

Nam przynależność do międzynarodówek nie kalkulowała się. Lekcje międzynarodowej solidarności proletariatu odczuwaliśmy i odczuwamy boleśnie. Jednym z najjaskrawszych przykładów był rok 1920 i postawa robotników gdańskich wobec transportów broni dla Polski. Ale mimo wielu przykładów i argumentów doktryna i nawyki robią swoje. Należą i płacą duże sumy robotnicy, należą i płacą pracownicy umysłowi. Od czasu do czasu odbywają się jakieś zjazdy, międzynarodowe konferencje, jest okazja do zabawy w swoisty protokół dyplomatyczny, wyrabiają się politycy w skali międzynarodowej, a w gruncie rzeczy jest to jeszcze jeden sposób dla penetracji obcych wpływów na naszym gruncie.

W Polsce ta sprawa jest ważna dlatego, że wszystkie kosmopolityzmy dziwnie skutecznie hodowały bakcyła polskiego kompleksu niższości, a w ten sposób obciążeni niewiele mogliśmy wygrać na terenie międzynarodowym.

OBCE AGENTURY

Naturalną bazą działania obcych agentur są odcinki życia społecznego ożywione ideami kosmopolitycznymi. Tam gdzie się urabia pogardę dla „zaścianków narodowych”, wstręt dla granic, uśmiech dumnej wyższości dla „kołtuńskiego” słowa ojczyzna, tam infiltracja wrogiej Polsce agitacji jest bardzo nieskomplikowana. Prostu pierś odsłonięta, można strzelać bez przeszkód i bez ograniczeń. A w ruchu zawodowym jeszcze dużo do gadania mają te wzniosłe ponadpaństwowe i ponadnarodowe duchy. Tam wciąż jeszcze obok zdecydowanych i wyrafinowanych międzynarodowców, a właściwie pod ich batutą, działają i wieszczą swą umiłowaną prawdę o wielkim, ponadnarodowym człowieku, o pięknym wyzwolonym „z przesądów” obywatelu świata, często nawet bardzo szlachetne, ale niebezpieczne pięknoduchy.

Owe poczciwe pięknoduchy, przez to że są piastunami zaufania, że głoszą swe prawdy z wiarą i przekonaniem, szerzą największy zamęt i stanowią najniebezpieczniejsze pomosty, przez które na polski rynek robotniczy bezceremonialnie wkracza i głęboko usadawia się obca i wroga nam myśl. Ci szlachetni, ofiarni i społecznie czynni, ale lunatycy oderwani od pnia polskiej rzeczywistości, wyrządzają duże szkody, bo utrudniają prawdziwą ocenę sytuacji, bo stwarzają wygodny parawan dla świadomych szkodników.

NERWY

Na arenie spraw robotniczych rozgrywają się zazwyczaj emocjonujące spektakle. Zarówno uczestnicy rozgrywanych partii jak i widzowie nie mogą zachować spokoju i utrzymać na wodzy rozigranych nerwów, bo stawka, o którą toczą się boje, dotyczy życia.

Nerwy często fałszują istotę obrazu.

Nerwy sprawiają to, że w oczach dysponentów władzy państwowej robotnik urasta do miary krwiożerczego podpalacza i burzyciela ładu, a w świadomości tego od maszyny postać państwa ubrana jest w granatowy mundur i uzbrojona w gumową pałkę.

Nerwy to kiepski wykładnik rzeczywistości. Nerwy sprawiają to, że dysponent władzy często odsuwa od siebie problem robotniczy, unika rozstrzygnięć, nie wie, z której strony podejść, a robotnik znów pełen nieufności i podejrzeń omija lokal urzędu, bo nie oczekuje stamtąd radykalnej pomocy. Uczono go, że grunt to poczucie własnej siły.

Dwa elementy tego samego organizmu nie zasymilowały się wzajemnie. Na przeszkodzie stoi jeszcze żadna wrażeń publiczność, ona podjudza strony, maluje fałszywe tło, złośliwie pośredniczy, utrudnia. A na tle starej mapy rozpylonego i rozhisteryzowanego życia społecznego, kibic, pośrednik, menażer i impresario sprawy robotniczej niestety ma bardzo poważny głos.

Kibic wyrywa robotnikowi karty z rąk.

S I Ł A

Dla jaskrawego podkreślenia omawianej sprawy będziemy przez chwilę mówić językiem egoizmu klasowego.

Kto może na tym zrobić interes, komu może być bardziej potrzebna siła państwa jak nie robotnikowi. Przecież państwo jest gwarantem i realizatorem tych ustaw, które dają ochronę jego pracy, zdrowia, zapewniają bezpieczeństwo, higienę i ubezpieczenia.

Któż jak nie państwo, ale tylko państwo silne, może być postrachem na samowolę pracodawców. Któż jak nie państwo ma arsenał skutecznych środków na ukrócenie nadużyć i bezprawia. Któż rozporządza bogatą skąłą środków represji gospodarczych, a nawet kryminałem, gdzie trafiają nawet bardzo możni tego świata.

Pospolity w Polsce gatunek — obcy kapitalista — wcale nie jest zainteresowany i entuzjastycznie nastawiony dla problemu siły państwa. Ta siła często może być dla niego niewygodna. Słabego łatwiej eksploatować.

Analogiczną jest postawa każdej, a więc i robotniczej międzynarodówki. A patrząc na tę sprawę przez pryzmat rzeczywistości polskiej ujrzymy ją w zupełnie innym świetle.

Siła, to większa swoboda ruchów, to możliwość ekspansji, to zwiększone możliwości uruchomienia niewyzyskanych wartości, to zwiększone tempo życia, to wreszcie większa pojemność rynku pracy.

Siła państwa to interes dla robotnika.

Ten, który wierzy, że sędzią będzie sam, który zmierza do walki wręcz, temu istotnie siła państwa stanie kością w gardle, ten zna tylko ekspozyturę klasy posiadającej — państwo policyjne.

Ale pewniejsza jest stawka postawiona na siłę, pewniejsza jest dążność by stać się tej siły kręgosłupem, pewniejsze są godziwe aspiracje by w sferze tej siły mieć należne miejsce.

Kiedy mówi się słowo siła, na pewno trzeba dodać siła sprawiedliwa. Kto zna życie osad, miast, czy przedmieść robotniczych, ten wie, jakie organa reprezentują siłę, czy słabość państwa. Ich działania, często niezależnie od ogólnej polityki państwa, mogą stwarzać wrażenie, że państwo jest ekspozyturą kapitału. Dlatego dodajemy: siła sprawiedliwa, siła rozumna.

Nie możemy tu już szeroko mówić o chwilach wielkich prób czy katastrof, w których prawie wszyscy, nawet najgorętsi marksiści, ze słowem ojczyzna na ustach stają do apelu. Wtedy wszyscy zgodnie proszą Boga o siłę. Czyż nie prościej stwarzać ją systematycznym, codziennym wysiłkiem. Pocóż ta dwoistość recept? Dlaczego inne na codzień, a tak krańcowo inne na chwile triumfów, czy dramatów narodowych?

To życie w dwóch wymiarach specjalnie silnie męczy i drażni zasłużonych byłych żołnierzy, a dziś robotników i karnych związkowców.

Z I E M I A D U D N I

Mimo wszystkie uwagi krytyczne trzeba stwierdzić, że polskie związki zawodowe odegrały swą poważną rolę.

Kto pamięta i miał możność obserwować, czy brać udział w tych nieustających pracach, gdzie dniami i nocami tęgie mózgi mozoliły się i walczyły o zdrowie, bezpieczeństwo, higienę, ochronę przed wyzyskiem, zabezpieczenie starości, inwalidztwa, opiekę nad matką, dzieckiem itp., ten nie może z lekceważeniem patrzeć w przeszłość. Dzisiejsze osiągnięcia same by nie przyszły i gładko nie przychodziły. W ogólnej koniunkturze demokratyczno - liberalnych ustrojów związki zawodowe walczyły z godną podziwu konsekwencją i siłą o prawo do głosu, o udział w decyzjach, o miejsce w życiu publicznym. W minionym okresie pazurami trzeba było walczyć o należne miejsce w wewnętrznym życiu państwa.

Związki zawodowe spełniały swe zadania sumiennie. Nie zawsze zwycięsko, często partie polityczne nie dopuściły ich do należytego głosu, ale energii i dobrej woli nie brakło.

Ale dziś zmieniła się szachownica.

Inaczej zachowuje się rolnik, kiedy słońce świeci, a inaczej kiedy ciągną chmury. Dziś musimy się zachowywać tak jak przed wielką burzą. Anteny musimy wy-

łączyć. Przestaniemy słuchać międzynarodowej lekcji o znaczeniu esperanta, kosmopolityzmu i Ligi Narodów, a posprawdzamy siłę drzwi i zamków własnego obejścia.

ZIEMIA DUDNI

Nieodrodne wielko-piotrowe prawnuki maszerują na ulicach Moskwy i Leningradu, aż ziemia dudni. W nogę, sprawnie, posłusznie. Nic to, że Pietrograd nazwano Leningradem. Ziemia dudni, idą w nogę. Wolności demokratycznych jak nie było, tak nie ma.

Naród maszeruje i czujnie słucha, co na zachodzie wyuczyniają wielkofryderykowe wnuki. I tam ziemia dudni i tam kroku mylić nie wolno. Nowy wiatr z zachodu przyniesie nowe wieści, piotrowe wnuki dociągają pasy i przyśpieszają kroku. Kolumny marszowe ćwiczą w dzień i w nocy.

A do Polski Moskwa wysyła rudych kędzierzawych panów, żeby tłumaczyli, że swobód za mało, że za dużo represji, no i że Karol Marks inaczej te rzeczy ujmował. A Polak jest wielkoduszny. Rycerski naród każdemu pozwoli wygadać się dowoli, dlatego rudy kędzierzawy pan przemawia na ulicach, zasiada we władzach związków zawodowych, organizuje manifestacje, pisze do teatrzyków, wdziera się do literatury, zabiera głos w prasie, bo rudy pan umie być układny, miły, w razie potrzeby zabawny, no i gotówka toruje mu drogę.

A W POLSCE BUDUJEMY CIEPLARNIE

Rudy pan ma tylko jedno zadanie:—wikłać krok maszerującej Polski. Rudy pan ma ułatwione zadanie, bo pomagają mu liczni, nawet bardzo ucziwi, zapatrzeni w systemy międzyplanetarne — Polacy. Ci nic nie widzą, nic nie słyszą. Berlińska i moskiewska musztra drażni ich jako obywatele świata, ale z Polską nie kojarzy im się ta sprawa. W Polsce trzeba ich zdaniem realizować niespełnione sny rewolucji francuskiej.

W Polsce trzeba nie oglądając się na nic budować cieplarnię dla liberalnej demokracji. W Polsce — powiadają — jest bardzo dobry klimat dla tej rośliny.

W związkach zawodowych ta cieplarniana idea znajduje dość znaczne zastępy sympatyków, bo idea ta pasuje do bardzo wielu przemyśleń i szablonów pracy związkowej.

W związkach zawodowych bardzo rzadko nadstawia się ucha na odgłosy złowieszczych manewrów wygłodniałych sąsiadów. Często bardzo słusznym byłoby spojrzenie na problem np. pragmatyki i stabilizacji nie tylko od strony gwarancji ustawowych, ale i politycznych, a zwłaszcza międzynarodowych. Te sprawy pozornie tak różne wiążą się nierozdzielnie.

* W związkach zawodowych też za mało docenia się problem rudych kędzierzawych panów, a tutaj czujność byłaby specjalnie pożądana. No tak, żachnie się niejeden, przecież prawdziwy działacz związkowy nie

może mieć żadnych przesądów, uprzedzeń i obaw, wszyscy są kolegami, łączy ich wspólna dola, zresztą żyjemy przecież w państwie demokratycznym...

A piotrowe i fryderykowe syny ówczą i nie mają okazji zastanawiać się nad istotą demokracji.

SZKOŁA EGOIZMU KLASOWEGO

Szkoła marksowskiego myślenia uczy, że zagrożenie granic nie pokrywa się z niebezpieczeństwem dla interesu klasowego człowieka pracy.

Szkoła ta poucza, że zmiany konstelacji politycznych w układzie sił międzynarodowych, zmiany granic, wojny, upadek tych czy innych narodów, to wszystko gra interesów kapitału i prawdziwy klasowiec nie powinien ulegać sugestiom i nie może dawać się wciągać w te niebezpieczne wiry. Ale mimo gorącej propagandy i nieustającej agitacji szkoła socjalistyczna nie zdołała wymazać ludziom z serc silnych uczuć narodowych, za to z metod pracy związków zawodowych, nawet tych tak zwanych prorządowych, wymiotła radykalnie słowo ojczyzna.

Dzisiejsze związki zawodowe, ich życie wewnętrzne, ich stosunek do państwa, ich wiązania międzynarodowe świadczą niezawodnie o zdecydowanie kosmopolitycznej postawie.

Lekcje egoizmu klasowego związki zawodowe dostawały nie tylko od agitatorów i wrogów Polski. Obowiązujący do dzisiejszego dnia dekret o związkach za-

wodowych innej postawy nie zaleca. Taka moda obowiązywała. Nie potrafiliśmy się wyrwać z kręgu jej działania, ale dziś już i moda minęła, a my jeszcze tkwimy w starym i dla Polski bardzo niebezpiecznym systemie, dziś specjalnie niebezpiecznym, bo ze wszystkich stron dokoła nas ziemia dudni.

JEŻELI NIE CZUJE — KURATELA

Ta złowieszcza melodia winna przepoić treść codziennych działań, niekoniecznie jako wzór do naśladowania, ale jako sygnał ostrzeżenia. W tych warunkach konieczna jest nieustanna konkurencja, wyścig i szlachetna rywalizacja o wzory nowych metod życia zbiorowego, o wydajność zespołowej pracy, o doskonałą bratnią pomoc, o wyższy poziom życia, o czujność i gotowość na wszelkie alarmy i sygnały padające od steru.

Lekcja, jaką dają nam sąsiedzi, dotyczy nie tylko pracowników. Egoizm i wyłącznie kalkulacyjny punkt widzenia pracodawcy w świetle reflektorów niebezpieczeństwa sowieckiego, czy niemieckiego też musi być poddany gruntownej rewizji.

Wówczas gdy ziemia dudni, wymowa książek buchaltaryjnych nie może być jedynym doradcą życiowym. Pracodawca, któremu nie jest obojętna tocząca się wokół musztra narodów, musi innym okiem spojrzeć na swój warsztat i na tego, który dziś wydobywa zeń nowe wartości, a jutro będzie bronił — robotnika.

Pracodawca, który tego nie czuje lub nie rozumie, musi być poddany kurateli, bo ziemia dudni.

ZWIĄZEK DĄSAŁ SIĘ

Zdarzały się już w Polsce odcinki, na których rozgrywała się rywalizacja między związkiem zawodowym a pracodawcą. Rzadkie to wypadki, ale były. Kto lepszy? Kto więcej dba o dobro zatrudnionych i zrzeszonych? Najlepiej na tym wychodzili pracownicy, pracodawca otrzymywał od personelu rekompensaty, które znakomicie pomniejszały materialne wkłady, dąsał się tylko związek. Dąsał się, bo podstawowe zasady pracy i walki związkowej nie zgadzały się. Groźne akcje nie udawały się, bo nikt nie chciał wierzyć w tego upiornego krwiopijcę. Bo pracodawca asygnował duże sumy na akcję oddłużenia, organizował obozy wypoczynkowe, interesował się i pomagał w celowym wykorzystywaniu urlopu, organizował życie kulturalne, sportowe. Związek dąsał się, bo miał przed sobą groźnego rywala. Najbardziej złowieszczą nuta życia związkowego — co mi związek da — na tym odcinku miała brzmienie specjalnie ostre.

Rzadkie to wypadki, ale były. Ze zdarzeń tych można wyciągnąć pożyteczną lekcję, a specjalnie pilnie winni studiować te wypadki przywódcy związkowi i ci, którzy myślą o nowej metodzie pracy i o formie przyszłej struktury zawodowej.

Dla każdego, kto nie jest marksistą i kogo cały ar-

senał starych teorii o formach walki proletariatu nie interesuje, problem nowych zadań i treści pracy związkowej jest bardzo aktualny.

KATECHIZM NARODOWY BĘDZIE BLIŻSZY

Przyszłe związki — te wytyczone na mapach zrationalizowanej polityki narodowej — kwestię dobrobytu materialnego będą musiały mocno postawić, ale wszystko na miarę potrzeb walczącego o swój dziejowy los narodu.

Ten zgarbiony od maszyny, który pyta, będzie musiał pojąć, że jego byt jest ważną sprawą publiczną, nie dlatego, że proletariatus musi zwyciężyć na całym świecie i ogłosić dyktaturę. Zresztą warto przypomnieć, że w rachubach rewolucji światowej, aktualny dobrobyt robotnika to sprawa drugorzędna, a często nawet nie pożądana.

Mit rewolucji światowej woli trzymać robotnika na łańcuchu, żeby był zły, żeby był dobrym rewolucjonistą.

A dla narodu ważne jest, żeby robotnik miał dobrze zorganizowane warunki życia codziennego, odpowiednie wczasy, żeby był zdrow i silny, żeby odpowiednio żywił i wychowywał dzieci, żeby oszczędzał i w miarę możliwości jak najsilniej wgryzał się stanem posiadania swego w głąb polskiej rzeczywistości. Na pewno katechizm proletariacko-narodowy będzie bliższy sercu i potrzebom robotnika aniżeli obce duchem, acz zwodnicze i kuszące, talmudyczne księgi Marksa.

TREŚĆ, KTÓRĄ MAMY WE KRWI

MARKSOWSKI STYL

Najbardziej kontrastowo marksowskie zasady życia i pracy związkowej wyglądają u pracowników umysłowych, a zwłaszcza u państwowych. Nie mam tu na myśli oficjalnej przynależności do P.P.S., czy formalnej akcji opozycyjnej, chodzi tu o metody pracy, o system wychowania członków, o żargon publicystyki związkowej, o styl przemówień, słowem o szkołę staro-socjalistyczną.

Stowarzyszenia urzędnicze w roli uczniów tej szkoły, gdzie państwo musi być traktowane jako narzędzie działań wrogów klasy pracującej, to jakieś nieporozumienie. A to nienawistne narzędzie zachowuje się dość dobroduszenie, czasem nawet pomaga ściągać składki na akcję nierzadko wymierzoną przeciw sobie.

U pracowników umysłowych najsilniej też zarysowuje się kontrast między płomienną teorią, a celami realizowanymi.

W teorii, w czasopiśmie i przemówieniach dumną ambicją pracownika umysłowego jest pionierstwo, jest przewodzenie klasie heroicznej i prowadzenie jej do walki o nowy ustrój, o władzę, o nowy podział dóbr, a w życiu walka sprowadza się do realizacji pogardza-

nych ideałów mieszczańskich. Masowa produkcja rentierów (rentier nigdy nie będzie nowatorem i rewolucjonistą) i nieustanna walka o zwiększenie zarobków.

NIE MA WIELKICH POŻARÓW

Sztuka rozgrywa się w staromarksowskich kostiumach, ale czasy, sprawy i ludzie pozmiały się do szczerne. Duch dziewiętnastego stulecia jeszcze się błąka, ale zagłuszają go do reszty porywy nowych, narodowych wichrów. Teren pracowników umysłowych nie oderwał jeszcze wzroku od ustawy pragmatycznej. Nad nią jeszcze pochylone czoła i mózgi w najlepszej wierze, w głębokiej trosce o los pracowniczy, radzą, no, ale to przecież nie jest ów wielki cel.

I znów tak, jak na wszystkich rozpatrywanych odinkach, szwankuje zasada generalna. Nie ma na tych terenach wielkich pożarów idei, bo problem celu generalnego zawisł we mgle.

A główny motyw muzyczny tej sztuki, to znana melodia „co mi związek da”.

Pod obuchem tej melodii działają zarządy związków; pod tym terorem myślą, piszą i przemawiają wychowawcy ruchu, kierownicy wszelkich akcji, redaktorzy memoriałów, uchwał czy pism. To jest niestety główny motor działania — obsługa członków, którzy przecież płacą składki. Na tym tle problem obowiązków członkowskich nie może znaleźć należytego roz-

wiązania, gdyż na czoło nieustannie wysuwa się potrzeba kokieterii. Organizacja wciąż musi stroić przeróżne minki — tak, by zaspokoić upodobania i gusta swego klienta członka. To jest sedno, brak kryteriów wyższego rzędu — każdy związkowiec jest klientem swej organizacji. Nie współtwórcą, nie aktywnym i zdrowym nerwem swego środowiska, nie twórczym motorem, a klientem.

CO MI ZWIĄZEK DA?

Z tego źródła płyną dalsze konsekwencje. Klient narzuca piętno swym organizacjom i wraz z nimi przenosi postawę i metodę klientowską na grunt państwowy. Organizacja, zrodzona i działająca pod presją wołań: „co mi związek da?“, przekształca się w twór, powstały dla powielania tych żądań. Tony melodii generalnej płyną coraz głośniej. Marksowski sąd konkursowy stawia dobre noty.

„Co mi związek da?“. Z atmosfery wielkiej ilości roszczeń może wyrosnąć tylko ich wypadkowa, w postaci aparatu sumującego i zgłaszającego te same roszczenia w innych kondygnacjach życia zbiorowego. Na tym tle wyrasta pogląd, że ruch zawodowy to twór niedający się dopasować do dzisiejszej struktury życia państwowego, bo przecież takie arytmometry, mnożące i sumujące żądania obywateli w dzisiejszej sytuacji Narodu i państwa polskiego są zbędne.

Nasi sąsiedzi, piotrowe i fryderykowe wnuki, muszą

być zadowoleni, bo zatopione w rozważaniach pragmatycznych polskie związki nie dostrzegają ich manewrów. W dolinie polskiej cichej wody, stawów, położonej między groźnymi szczytami Piotr i Fryderyk, jeszcze cisza. Odgłosy lawiny jeszcze nikogo nie niepokoją, reflektory, a nawet działa można spokojnie nastawiać na wszystkie źleby i dróżki, bo w dolinie cisza. W dolinie jeszcze śpią. W dolinie przez sen ktoś nuci melodię „Co mi związek da?”

STYL ŻYCIA

W całokształcie zagadnień ustrojowych, a zwłaszcza w okresach, kiedy czoło narodu nawołuje do przemian, do rewizji starych zasad, a nawet do ofiar i podporządkowania, podstawowej wagi czynnikiem staje się kwestia zaufania.

Naród pod bronią — pełna mobilizacja zdrowych sił — wielkie boje o dziejowe przeznaczenie Narodu — wszystko to szlachetnie brzmi, ale zaufania ani rusz. Tutaj realizacja zasady sprawiedliwości społecznej będzie najaktywniejszym elementem, budzącym zaufanie.

Ale jest jeszcze inna strona tego medalu. Piękny miało ton i rezonans odgórne wołanie o surowe życie. Zaufanie do czoła wzrastało, ale tej tonacji nie należy przerywać. Biedny i ciężko pracujący człowiek, który z całą wiarą ma stanąć w karnym szeregu sprawy narodowej, musi mieć pełne przekonanie, że jego dowód-

cy to ludzie, którzy bez reszty służą tej samej sprawie.

W okresach przeobrażeń styl życia dowódców może odegrać decydującą rolę. Tu konieczna będzie wielka doza nieustannej czujności i samokrytyki i nie ma na to rady. Jak Sparta, to Sparta. Ktoś, kto mówi surowo i pięknie, musi równie surowo i pięknie żyć.

Praktykowanie głoszonych zasad będziemy musieli wprowadzić jako przedmiot obowiązujący, tym bardziej, że arenę życia społecznego przenosimy coraz bliżej prawdziwego życia, coraz bliżej warsztatów pracy, coraz bliżej ognisk rodzinnych. Na tych odcinkach prawda silniej obowiązuje.

RODZINA

W systemach wychowania socjalistycznego rodzina to tylko kategoria stanu cywilnego, a serce mówi znacznie więcej, a pewne mniej lub więcej żywe, aktualne, czy pozornie minione wierzenia religijne mówią całkiem co innego, spojrzenia matki, żony i dzieci zupełnie inaczej ujmują tę sprawę.

W systemie nowej, narodowej wiary proletariackiej, w zrewidowanym układzie hierarchii społecznej rodzina będzie musiała powrócić na swe właściwe, bardziej honorowe miejsce.

Rodzina to jeszcze jeden element wskazujący na to, że rdzeń życia robotniczego wcale nie leży w centralnych ośrodkach wielkiej potęgi klasowej. Rodzina to nowy wskaźnik, kierujący myśl rewolucjonistów na te-

reny fabryk, osad i osiedli. Tam będzie się rozgrywał socjalny, organizacyjny, gospodarczy i kulturalny problem odrodzenia postawy robotniczej. Bo rodzina to komórka organizacyjna, to najniższy szczebel struktury związkowej. Nie ujęty w ramy statutu, a żywy, sprawnie funkcjonujący i co najważniejsze, całkowicie zdecentralizowany i niezwykle silnie przywiązany do gruntu, na którym los go postawił. Rodzina to nowy wskaźnik, przypominający nam, że na mapie sprawy robotniczej linie poziome indywidualnych właściwości regionów będą miały duże znaczenie, bo w rodzinie najsilniej dźwięczy słowo byt, bo w niej kształtuje się styl życia i obyczaje, w niej też znajdujemy liczne sprawdziany wartości różnych założeń teoretycznych.

JEST JAKAŚ SIŁA

Tradycji nie uznaje, kościoła nie słucha, doznań uczuciowych wstydzi się, ale na każdym kroku znajduje objawy, które płyną gdzieś z głębi, same dochodzą do głosu, nie pytają o formalną zasadę, ani nie czekają na zgodę.

Kiedy urodzi się dziecko, trzeba ochrzcić — no bo jakże? Kiedy trochę podrośnie, trzeba przygotować i posłać do Komunii św., no bo przecież na heretyka ani poganina nie będzie kierował własnego dziecka, a w dniu święta Bożego Narodzenia pod choinką niejedna łza popłynie, tak sama, nie wiadomo dlaczego. A Wielkanoc — opłatek — Boże Ciało?

A święta Narodowe? A 11 listopada, a rewia wojsk, a Krzyż Traugutta, a Reduta na Woli? Czy przyszło któremu do głowy nie uszanować Reduty, czy świętego dla Narodu krzyża na Cytadeli?

A czemu to wielu międzynarodowców i nieprzejednanych klasowców jakiś spazm chwycił za gardło wówczas, kiedy przez kraj do krypty Wawelskiej wieszono ciało Józefa Piłsudskiego? Jakaż to teoria tak każała?

NIEODRODNE DZIECI

Areopag marksowskiego myślenia, obserwujący nasze związki zawodowe, ma prawo zacierać ręce z radości. Toż to nieodrodne dzieci materialistycznego myślenia, stara szkoła bez żadnych odchyień.

Materializm, płynący z śmiałej i nawet potężnej doktryny, na dole już tam, w głowach najmniejszych jego nosicieli, porozbijany o rafy codziennych tarć, konfliktów, miałkich pragnień i pożądań, przybiera dość nieefektowne kształty, ogołaca człowieka z całej przebogatej sfery wierzeń religijnych, wysuwa w sposób bezapelacyjny pryzmat materii nad duchem.

A problem polskiego być albo nie być w kategoriach materialistycznego myślenia nie da się rozwiązać. Tu trzeba uwierzyć w twórcze moce Narodu Polskiego, a pojęcie Naród to jakaś wielka treść, którą nosimy we krwi i w sercu, a jednocześnie to jakieś piękno irracjonalne, jakaś siła prawie nieziemską. Tego nie pojmie

homo oeconomicus ani jego sjamski brat zmaterializowany związkowiec.

Jeżeli polski ruch zawodowy ma być „narzędziem dziejów”, jeżeli ma tworzyć „rzeczy historyczne żywe”, to głównym pryzmatem patrzenia na życie publiczne nie może być pragmatyka zawodowa.

W szkole materialistycznego myślenia strasznie scherlał człowiek. Obywatela trzeba poddać kuracji, zregenerować jego siły, jego stosunek do życia, a w pierwszym rzędzie do pracy.

SŁOŃCE

Cyniczny i tylko zarobkiem szacowany stosunek człowieka do pracy powoduje owo rozdarcie świadomości ludzkiej na szarą, ponurą, codzienną rzeczywistość i świat upiększeń, barwnych pragnień i tęsknot.

Jeżeli codzienność, przy warsztacie, nie przyświeca człowiekowi jakieś słońce wielkiej wiary, to jasne, że owa codzienność staje się przekleństwem. Homo oeconomicus pozostaje smutny, bo codzienność trudno obliczać osiągnięte zarobki.

Słońcem, przez które można oglądać Boga, musi być Naród.

Jego osiągnięcia, radości, zdobycze i triumfy muszą być naszą pasją i namiętnością. Jego sytuacja musi warunkować naszą. Nasza praca zawodowa, to służba w jego ordynku. Nasz stosunek do pracodawcy, to fragment narodowej polityki socjalnej.

Spojrzenie na mapę i na grę wirów polityki światowej poucza, że zbliża się moment sygnału do wzmożonej czujności. Związki i stowarzyszenia muszą spotęgować wołanie syren. Tempo pracy, godziny pracy w niektórych zakładach, polityka wychowawcza, samopomocowa, gospodarcza, sportowa, wypoczynkowa musi być wykładnikiem całokształtu strategii narodowej.

D O N O G I B R O Ń

Jeżeli spojrzymy poza siebie na obraz historii lat minionych, to zobaczymy dwa wzajemnie wikłające się tory wczorajszej rzeczywistości.

Przez Polskę od lat sunęły dwa walczące z sobą pochody: organiczników i niepodległościowców. Pierwsi wołali do Narodu, że trzeba siać, orać i w drodze układów z zaborcą zabezpieczać polski stan posiadania, drudzy odpowiadali — nie! Honor i deptyana wciąż duma narodowa nie pozwala na system pracy organicznej i mimo gospodarczych odłogów programem musi być rewolwer i bomba, a nie szpadel.

Na tych dwóch torach rosły dwie szkoły, w których kształtowały się światopoglądy pokoleń. Na tych torach rosły legendy, symbole, pasje, pragnienia.

Legenda robotnicza zawsze kroczyła torem rewolucyjnym.

Dziś historia Polski odrodzonej doprowadza nas do jakiejś węzłowej stacji, dwa tory zbliżają się.

Dwa pochody suną jeszcze, ale są już coraz bliżej siebie. Na sztandarach i transparentach wczorajszych organiczników coraz silniej dominują napisy: wojsko, obronność, naród żołnierzy, a u rewolucjonistów i niepodległościowców po komendzie — do nogi broń, coraz

więcej mówi się o szpadlu i już nie o dynamicie, a o cencie i wapnie mowa.

Pochody zbliżają się. Jeszcze grzmią dawne okrzyki, ale treści już w nich nie ma. Zbliżamy się do skrzyżowania dróg.

Miejmy nadzieję, że krótkie spięcie nie nastąpi. Przed nami już tylko jeden szeroki tor.

Po komendzie do nogi broń zamiast dynamitu — cement.

A robotnik? Dojeżdżamy do węzłowej stacji — trzeba wykupić nowy bilet. Rewolwer — czy szpadel? Trzeba się decydować.

NAS KURNA CHATA MĘCZY

Analiza rzeczywistości społeczno - zawodowej daje nam bardzo wymowną lekcję. Zakres i siły tych ruchów społecznych rozrastają się bardzo wydatnie. Świadczą o tym zarówno liczby stowarzyszonych jak i sumy rosnących budżetów społecznych. Wystarczy zsumować ilość domów związkowych, sanatoriów, pensjonatów, kolonii i obozów by przekonać się, że to już nie tylko zabawa w pracę społeczną.

W zakresie finansów wystarczy przykład kolejarzy, i ich ogromnych miesięcznych sum, płaconych na cele społeczne. Dodajmy do tego czasopisma o potężnych, niejednokrotnie przekraczających 50.000, nakładach, a przekonamy się, że to nasze życie społeczne to już kolos, rozporządzający wielkimi środkami i możliwościami.

Przy zestawianiu tego obrazu z metodami, formami i poziomem prac społecznych obraz nabiera ciemniejszych barw.

Pięćdziesiąt tysięcy nakładu — to prawda — ale treść i poziom tych czasopism? Setki tysięcy miesięcznych składek to potęga, ale celowość zużycia tych kapitałów?

Domy społeczne to piękny pokrzepiający obraz, ale co się w nich dzieje — jaka praca — jaki duch?

A zbliżamy się do węzłowej stacji.

To prawda, że mimo to wszystko jakoś przecież jest — Polska się nie zawala — życie społeczne nie zamiera. Po cóż zatem ten alarm? Po cóż poszukiwania nowych rozwiązań?

To nas nie przekonywa. Poleszuk mieszkający w kurnej chacie też potrafi Pana Boga chwalić za to, że żyje, ale nas kurna chata męczy, musimy ją przerabiać.

PRZYKRE ŚMIESZNOSTKI

Chodzą jeszcze po świecie filistrzy — ludzie aspołeczni — traktowani są zazwyczaj jak trutnie. Obok nich uwijają się, robią szum i reklamę swych czynów legitymowani obywatele społecznicy. Filistrom zaczyna się coraz gorzej powodzić. Filisterstwo przestaje się opłacać, obcinanie kuponów przestaje być jego wyłącznym przywilejem. Filister żyje dziś pod strachem — terror legitymowanych zakłóca mu spokój.

Na biura, urzędy, fabryki, spadła jakaś szarańcza. Ludzie obwieszani znaczkami, obładowani pieczętkami, upoważnieniami do ściągania składek opanowali sytuację. Pod strachem i terorem filistrzy przekształcają się w legitymowanych. To jeszcze nie jest nieszczęście, ale trzeba przy okazji stwierdzić, że ci legitymowani stają się elementem niemądrze dokuczliwym.

Jakżeby się przydał teraz pisarz typu Gogola, który by uplastycznił wewnętrzną treść wielu tych zalatanych, przepracowanych i „zasłużonych”, bo bezinteresowanie propagujących, poświęcających się działaczy.

BRATNIA POMOC

A życie jest proste. Tam gdzie szarańcza nie szaleje, tam można osiągać poważne zdobycze. Dla przykładu weźmy te dwa proste słowa — Bratnia pomoc. W tych słowach można zmieścić bardzo bogatą treść. Nietylko pożyczkę, ułatwienie towarowe, czy zabezpieczenie materialne, nietylko własny sklep, czy tanie spędzenie urlopu, przeprowadzenie kuracji, czy pomoce kulturalne. Tą drogą można i trzeba dotrzeć do dna życia niejednego związkowca, można wyciągnąć w porę pomocną dłoń tam, gdzie okaże się konieczną.

Obserwowałem kiedyś smutne wypadki. Płaczące żony prosiły zarząd związku o pomoc. Związkowiec mąż i ojciec w karygodny sposób zaniedbywał materialne potrzeby rodziny. Lekkomysłność, pijaństwo, nałóg, gry. Organizacja koleżeńskiej pomocy może w niejednym

wypadku pomóc. Stosowana organizacja kuratorów związkowych dawała dobre rezultaty. W atmosferze przyjaźni koleżeńskiej można dużo zrobić.

FANTAZJA CZY NAKAZ ŻYCIA

Komenda — do nogi broń! — Ale praca przecież nie skończona?

Kiedyś na jednym z zebrań w środowisku kolejarskim podsumowano ilość składek płaconych przez kolejarzy na cele społeczne. Wypadły grube miliony rocznie. Rezultat zamroczył zebranych. Fantazja poniosła, poczucie siły rosnęło. Zaczęto budować nową pozycję świata kolejarskiego w państwie. Dzieci kolejarskie powędrowały do szkół i internatów w piękne i zdrowe tereny. Emerycy osiedlili się we własnych osadach na kresach, na tych terenach, gdzie zdrowy, polski element jest potrzebny. Obok strażnic KOPU powstawały osady kolejarskie, fantazja poniosła. Dzieci, szkoły, nauczyciele, wychowawcy, emerycy, spółdzielcy, administratorzy — powstawały nowe kolonie i osady. No bo i po cóż ten element stłaczać w przeludnionych, niezdrowych miastach. Czemuż nie robić naturalnych, a ze wszech miar pożądaných odplywów tam, gdzie one są pożądané i możliwe.

Fantazja poniosła — miliony kolejarskie przebudowywały Polskę, powstawały banki, przedsiębiorstwa, wielkie czasopisma, wydawnictwa, wystawy, muzea.

Tyle fantazja, ale prawda jest gdzieś w pobliżu.

K A Ź D E M U W O L N O, J A K K T O C H C E

Przysłowiowe już są warszawskie tramwaje. One biją rekordy ilości związków zawodowych, działających na terenie jednego zakładu pracy. Ale trzeba przyznać, że w tym zakresie bardzo pomaga obowiązujące u nas ustawodawstwo. Dekret o związkach zawodowych z 1919 roku jest jednym z bardzo plastycznych dowodów na poparcie zasady: każdemu wolno, jak kto chce.

No, ale w 1919 roku o racjonalizacji jeszcze się niewiele mówiło, a w życiu politycznym ze startu ruszały na podbój dusz ludzkich zgłodniałe rekiny liberalnej demokracji.

Związki zawodowe były w modzie, związki były bardzo poszukiwanym mięsem dla zgłodniałych. Smaczne mięso rozszarpywano na oczach przerażonych robotników, którzy wciąż tracili, a po ich karkach, zgiętych plecach przelewały się jakieś fale walk i niepokojów; ich bezpośredni udział w tych procesach nie był duży, bo wciąż byli poszatkowani, rozbici i słabi, wciąż byli mięsem.

Związki zawodowe w systemie liberalnym to obraz

działań partyzanckich, a w nowoczesnej strukturze życia zbiorowego oddziały partyzanckie muszą przeformować się w oddziały regularne. Ponadto musi się zmienić kierunek i cel działań.

RACJONALIZACJA

Nie dla mody piszemy o racjonalizacji. We wszystkich dziedzinach życia proces racjonalizujący porządkował, ustawiał na właściwe miejsce sprawy i ludzi, tylko w życiu społecznym wciąż jeszcze obowiązuje zasada: każdemu wolno, jak kto chce.

Kupiec, przemysłowiec, rzemieślnik, rolnik, ogrodnik, wszyscy wiedzą już, co to naukowa organizacja, co celowe zużycie energii, co to maksimum wydajności, tylko społecznik jeszcze chadza sobie beztrąsko po leśnych bezdrożach fantazji, zachcianek i fikcji. Taka wędrówka bywa ciekawa i daje wiele miłych wrażeń, dopóki się definitywnie nie zabłądzi. Ale to, że coś dogadza naszym upodobaniom, nie może być jedynym kryterium dla ogólnej oceny tych harców w gąszczach leśnych.

Życie społeczne Polski będzie musiało jeszcze trafić pod cyrkiel i wagę. To, co obecnie obserwujemy, jest już tak duże, materialnie tak rozległe, wychowawczo tak różnorodne i często niebezpieczne, że trzeba będzie porzucić stare wzory liberalne i spojrzeć na to jak na wielki rezerwuar sił narodowych, które dziś lekkomyślnie trwonimy.

ZGODA — STANĘ W SZEREGU

No dobrze — stanę w szeregu sprawy narodowej — powiada sobie robotnik — ale jakież to ja mam gwarancje, że ta sprawa to nie będzie nowy kij na mój bity grzbiet. Dobrze, wyrzeknę się wszystkich teoryj o międzynarodowych solidarnościach, zerwę kontakty z międzynarodówkami, ale jak to będzie wyglądała inna strona medalu, jak będzie się kształtował stosunek do międzynarodówki kapitału. Zgoda, spojrzę na Polskę jak na wspólne dobro, spojrzę uczciwie i bez chytrności, ale jak inni, jak pracodawcy.

Niemcy organizują szkoły dla pracodawców, w naszych, zgoła odmiennych warunkach taka instytucja byłaby zabawna, ale wobec tego wątpliwości piętrzą się, a setki codziennych przykładów krzywdy robotniczej pogłębiają ich aktualność.

Robotnik - żołnierz wie, że walka z państwem i akcja osłabiająca je, to błąd, który trzeba później krwią naprawiać, ale przecież Kon czy inny Boussac to nie synonim Państwa. Przeciw samowoli tych ostatnich musi być użyta jakaś siła, a trzeba dodać, że w Polsce Konów i Boussaców jest jeszcze bardzo dużo.

Dziś jeszcze zastrzeżenia i wątpliwości cisną się do głowy, a płyną one nie z imaginacji, prawdziwe życie jest ich dostawcą.

ALBO, ALBO

No tak, ale jakie wnioski? U obcych szukać pomocy? Frontem do międzynarodówek?

W rewolucji szukać rozwiązania?

Dobrze znamy przykłady „życzliwości” obcych, aż nadto dobrze widzimy rewolucyjny wzór.

A może wobec tego tak dalej ciągnijmy powojennym polskim systemem. Ani rewolucja, ani dyktatura proletariatu, ale postawa rewolucyjna i poza dyktatorska. Tak na niby.

Bardzo to demoralizująca i destrukcyjna postawa. Z takiej szkoły nie wyrosnie ani prawdziwy rewolucjonista, ani państwowiec-nacjonalista. Tak rodzą się mieszańce, bez wyrazu, — psuje się rasa obywatelska.

Dlatego to twiendzimy, że na terenie polskich fabryk musi się wyjaśnić sprawa najbardziej zasadnicza. Robotnik musi się zadeklarować i to nie podpisem na formularzu, a sercem, rozumem, sumieniem, jakie miejsce wyznacza sobie w życiu zbiorowym, czy wybiera rolę rycerza rewolucji światowej, czy żołnierza polskiej sprawy.

Jedno z drugim nie da się pogodzić, decyzja musi być wyraźna.

Mimo to wszystko sprawa zastrzeżeń i obaw zostaje otwarta. Robotnik walczący o sprawę narodową, musi być opancerzony, opancerzony przed niebezpieczeństwem Konów i Boussaców, a czasami i od błędów biurokracji.

ANALOGIA

Jest pewna analogia między sprawą młodzieżową a sprawą robotniczą:

Dwa bastiony wszelkich wichrów, porywów i śmiałych idei. Dwa oddziały pionierów. Dwa środowiska obciążone pięknymi tradycjami rewolucyjnymi walk o wolność, dwa środowiska i dwa tereny zagmatwane w staroliberalne obrzędy i formy.

Tu średniowieczna autonomia wymierzona swym ostrzem w absolutnego władcę, tu dekret o związkach zawodowych, pisany na miarę państwa, które jest ekspozyturą klasy posiadającej.

Jurność i zdrowie pomieszane ze starzyzną. Rewolucyjność tradycyjna, mityczna. Wolność w bardzo starym wydaniu, wolność nałogowa.

A jednocześnie w cichości ducha ludzie proszą Boga o siłę, ład, pragnęliby widzieć kraj uporządkowany, byleby tylko starą miotłą.

A jednocześnie wiemy, że trzeba modernizować warsztaty pracy publicznej robotnika, że trzeba je tak postawić technicznie, by wkład pracy robotniczej wiązał się w jednorodną całość wzmożonej twórczości narodu polskiego.

NARODOWIEC W PANCERZU

Kilka dni temu odbyłem długą rozmowę ze starym weteranem sprawy robotniczej. Ten rozumny i dobrze

znający się na omawianym przedmiocie człowiek ujął całość sprawy w lapidarnym skrócie.

Zmorą robotnika i kosztowną zabawą jest możliwość tworzenia paru czy nawet kilku związków w jednym zawodzie. Nikomu nie można zabronić należenia do innych form życia politycznego, społecznego czy kulturalnego, ale branżowa bratnia pomoc, branżowa akcja szkolenia czy ochrony rynku pracy danego zawodu, to musi być powiązane w jedną całość.

Niesprawiedliwością jest pozbawienie robotnika formy samorządu gospodarczego.

Plagą jest pokutujący duch marksizmu.

Dużym niebezpieczeństwem są międzynarodówki.

Jedynie słuszną jest narodowa postawa polskiego robotnika. W tym nowym marszu robotnik musi być silnie opancerzony. Jeżeli ma się wyrzec klasowości, to musi być chroniony przed klasowcami drugiej strony — pracodawcami. Jeżeli ma się wyrzec międzynarodowych koligacji, to musi być zabezpieczony przed międzynarodowcami, którzy w świecie kapitału jeszcze głosu nie tracą. Unarodowiony proletariatus musi jeszcze chodzić w pancerzu, bo nowa Polska nie jest jeszcze dostatecznie polską.

KATARYNKI NIEPOTRZEBNE

Są w Polsce dość liczne grupy małych hitlerków — chciałbym się odgradzić od nich możliwie najsilniej.

Są ludzie, którzy zapatrzeni w rzymskie, czy berliń-

skie wzory, sądzą, że w Polsce za pięknym słowem, czy za orkiestrą pójdą łatwo wszyscy. Dziś pod wrażeniem chwili może nawet pójdą, ale jutro będą się śmiać. Polacy nie mają w sobie ani południowej krwi, ani szkoły niemieckiej.

W Polsce w tragicznym roku 1935 zrodziła się jakaś głęboko brzmiąca, pełna troski i niepokoju nuta obawy o los osieroconego kraju, tej nuty nie rozproszą małe hitlerki, orkiestry czy manifestacje.

Celem naszych rozważań nie jest umundurowanie robotników w te czy inne koszule i pędzenie ich na pochody. Celem naszym nie jest wyduszenie z robotnika wielkich ofiar pod presją moralnego szantażu potrzeb wojska, państwa, czy narodu. Nie zamierzamy też stwarzać obowiązującej na codzien melodii alarmu wojennego. Tę pieśń trzeba pamiętać, ale nie ogrywać, nie puszczać jej na gramofony i katarynki, bo straci swą moc, bo nie zrobi żadnego wrażenia wówczas, kiedy przyjdzie chwila ostatecznego alarmu.

SPLUWACZKI I KOSZE

Zrodzona w 1935 roku troska wyostrzyła wzrok, ożywiła sumienia, ludzie jakoś łatwiej i szybciej poznają się na balonikach i blade, i dlatego może na życie publiczne patrzą inaczej niż „działacze” — patrzą prościej.

Od dołu stale i niezmiennie płynie wołanie o porządek

kowanie życia, a w życiu publicznym, to tak jak w mieszkaniu. Flejtuchy nie lubią porządków, ale właśnie dla nich trzeba ustanawiać rygory, ogłaszać, że pluć wolno tylko do spluwaczki, a śmieci wrzucać do kosza.

W ruchu zawodowym nie chodzi o koszule i pochody, spluwaczki i kosze — mamy na myśli, ład, porządek, czystość obyczajów.

W rozstawieniu tych urządzeń musi pomóc dobra wola i odwaga robotników oraz ustawa.



TREŚĆ:

- I NA PROGU 5
COŚ SIĘ ZMIENIŁO. — KURTYNA IDZIE W GÓRĘ.
- II TREŚĆ I FORMA 11
ŻYCIE PRZEPLYWA OBOJĘTNIE. — WIDZIMY TO
NA KAŻDYM KROKU. — STATUTY W ŚWIETLE ŻY-
CIA. — WNIOSKI.
- III LUNATYCY LEĄ Z DACHÓW 17
WSZYSTKO BEZ ZMIAN. — NIE ZAUWAŻYŁ. — RY-
CERSKA KREW. — LUNATYCY LEĄ Z DACHÓW. —
O CZYM TY MYŚLISZ, PREZESIE ZWIĄZKOWY? —
JEŻELI TAK, TO KATASTROFA.
- IV MOZAIKA ROBOTNICZA 25
PRZEROSTY. — ZŁOŚLIWA ANEMIA. — POPISOWA
TOLERANCJA. — NOWE KRYTERIUM. — ZGODNIE
Z PLANEM. — RÓŻNORODNE PRÓBY.
- V DRUGA STRONA MEDALU 33
OCZAMI KMIOTKA. — Z ZATROSKANĄ GŁOWĄ. —
NARODZINY. — ZAMIESZAJE. — A MOŻE ZWYKŁA
MUSZTRA.
- VI POZA SFERĄ OBELG 41
SOREL I MARKS O POLSCE WÓWCZAS NIE MYŚLE-
LI. — OJCZYZNA, TO MOCNE SŁOWO. — KTOŚ TU
KŁAMIE. — DAWNIEJ INACZEJ BYWAŁO.
- VII NA ROSSIE, A MOŻE W OSTREJ BRAMIE . . 47
ZWROTNICĘ TRZEBA PRZESTAWIĆ. — INSTYKNT
NARODOWY ŻYJE. — STARZY DEMOKRACI KOCHA-
JĄ SIĘ W ZASADACH. — EKSPOZYTURA KLASY PO-
SIADAJĄCEJ. — PYTAMY DALEJ. — NA ROSSIE,
A MOŻE W OSTREJ BRAMIE. — BĘDĄ WSTRZĄSY.

- VIII ZDOBYWCA CZY SMUTNY CZŁOWIEK . . . 55
 SERCE WOŁA INACZEJ. — UCHOWAŁA SIĘ. —
 UCZMY SIĘ OD STRZELCÓW I DRUŻYNIAKÓW. —
 EGZALTACJA. — BOLESNE POZORY. — SMUTNY
 WYRAZ PRAWDY.
- IX POD ZNAKIEM MIĘDZYNARODÓWKI . . . 63
 MIĘDZYNARODÓWKA. — OBCE AGENTURY. — NER-
 WY. — SIŁA.
- X ZIEMIA DUDNI 69
 ZIEMIA DUDNI. — A W POLSCE BUDUJEMY CIE-
 PLARNIE. — SZKOŁA EGOIZMU KLASOWEGO. —
 JEŻELI NIE CZUJE — KURATELA. — ZWIĄZEK DA-
 SAŁ SIĘ. — KATECHIZM NARODOWY BĘDZIE BLIŻ-
 SZY.
- XI TREŚĆ, KTÓRĄ MAMY WE KRWI 77
 MARKSOWSKI STYL. — NIE MA WIELKICH POŻA-
 RÓW. — CO MI ZWIĄZEK DA? — STYL ŻYCIA. —
 RODZINA. — JEST JAKAŚ SIŁA. — NIEODRODNE
 DZIECI. — SŁOŃCE.
- XII DO NOGI BRÓŃ 87
 NAS KURNA CHATA MĘCZY. — PRZYKRE ŚMIESZ-
 NOSTKI. — BRATNIA POMOC. — FANTAZJA CZY
 NAKAZ ŻYCIA.
- XIII KAŻDEMU WOLNO, JAK KTO CHCE 93
 RACJONALIZACJA. — ZGODA — STANEŃ W SZERE-
 GU. — ALBO, ALBO. — ANALOGIA. — NARODOWIEC
 W PANCERZU. — KATARYNKI NIEPOTRZEBNE. —
 SPLUWACZKI I KOSZE.



POD ZNAKIEM NACJONALIZMU

WACŁAW BUDZYŃSKI
„LUFKIK NA ŚWIAT“

BRONISŁAW GNATOWSKI
„KU SPOLSZCZENIU ASEKURACJI
PRYWATNEJ W POLSCE“

